NOWINY TYGODNIA

Dodatek społeczno-kulturalny „Nowin Rzeszowskich"

Nr 7 (400) — SOBOTA 22 II. 1958 r.

W 40 rocznicę Armii Radzieckiej

PAWEŁ TYCZYNA

Kiedy nagle runął...

Kiedy nagle runął z konia
na śnieg, biały śnieg,
— Sława! — okrzyk się potoczy
i u nóg mu legł.

Jakby sięgnąć chciał do serca,
już podnosił dłoń.
Ujrzeć jeszcze taką zimę,
jedno z takich słońc.

Tęgo cięły szable nasze,
pierzchł w popłochu wróg!
Czarna chmura zakrakała,
siadł na piersi kruk.

Spojrzał rewolucjonista —
zawirował blask!
Tak umierał — sam w pustkowiu —
pozdrawiając nas.

1919
(ze zbioru „Pług", 1920)
przełożył: Jerzy Pleśniarowicz

OKIEM „PNIAKA"

W powodzi słów — nowotworów (nowotwory są podobnoć złośliwe i dobrotliwe), jakie wytworzył okres powojenny, jest jedno, którym się tutaj zajmę pośrednio jest nim słowo: „miastotwórczy", które o dziwo, samo właściwie nie występuje, ale zawsze w parze. Tą drugą połową małżeństwa jest wyraz „czynnik". Małżeństwo nazywa się więc „czynnik miastotwórczy". Przynależy ono wyraźnie do grupy ekonomicznej, a ściśle to do terminów gospodarki planowej. Przełóżmy jednak to fachowe wyrażenie na język potoczny, powszechnie zrozumiały. Przedtem dla rozmachu cofnijmy się kilka wieków wstecz.

Wiadomo powszechnie, miejscowość, która usadowiła się gdzieś kiedyś w tzw. sprzyjających warunkach, urastała po pewnym czasie nawet do rozmiarów wielkiego miasta. Mogły to być: sąsiedztwo pokładów mineralnych, dostatek pewnego surowca, skrzyżowanie szlaków handlowych, dogodne miejsce na zbudowanie portu itd. Te warunki w ubiegłych wiekach były właśnie czynnikami miastotwórczymi. Może nie tyle one same, ile ludzie, którzy te warunki potrafili wykorzystać, stworzyć handel, rzemiosło... podstawy istnienia miasta.

Śledząc dzieje pewnych miejscowości stwierdzimy, że oto nagle rozwijają się, dochodzą do wysokiej zamożności i kultury (z terenu woj. rzeszowskiego: Biecz, Jarosław), by następnie w również szybki sposób spaść do pozycji miasteczka, a bywa i gromady (na tym samym terenie: Tyczyn, Czudec). Cóż się więc stało z miastotwórczymi czynnikami?

A no, skończyły się; wyczerpały kopalnie, zmieniły się trasy szlaków handlowych, albo... zmieniły się sposoby produkcji czy chociażby — ustrój.

Weźmy dla przykładu chociażby takie miasto-miasteczko jak Tyczyn. Założone w roku 1363 było stolicą powiatu, siedzibą wysokiego w hierarchii sądu, obronne, obok powstała magnacka rezydencja, której podlegała szeroka okolica. Miasteczko jest siedzibą wielu cechów, tętnił ruch handlowy. — miasteczko kwitło. W odległej przeszłości buduje wodociągi, ma dwa kościoły. A dziś? — gromada. Po prostu, tradycyjne czynniki miastotwórcze skończyły się, zaś nowoczesne...

Właśnie doszliśmy do nowoczesnych czynników. Te się znacznie różnią od dawniejszych. Ani handel, ani rzemiosło, nawet zasoby mineralne, nie są już dziś czynnikami miastotwórczymi, tymi są fabryki, czyli — przemysł. Ten zaś w okresie gospodarki planowej i nowoczesnej techniki rozwija się tam i w takim stopniu, gdzie i jak zadecydują czynniki planujące, a więc państwowe. W praktyce wygląda to tak:

W mieście X stawia się np. fabrykę marmolady na 500 pracowników, wytwórnię pod ków na 300 robotników, bazę remontową dla maszyn naftowych na 700 robotników — do tego usługi, urzędy, szkoły... w rezultacie miasto X rozpoczyna start z 30 tysiącami mieszkańców — dalszy jego rozwój będzie już tylko rozwojem naturalnym. Plan zabudowy miasta w zasadzie opracowuje się na wyjściową ilość mieszkańców. W ten sposób poszczególne miasta stare, lub całkiem nowe otrzymują ściśle określoną miarę, której bez decyzji czynników planujących przekroczyć nie mogą.

Jeśli chodzi o woj. rzeszowskie, na ogół wiadomo, które miasta zostały wliczone do większych czy mniejszych, jakie otrzymują czynniki itd.

Każde miasto czy miasteczko w wyniku swego indywidualnego życia, historycznego rozwoju, nabrało swoistych cech, wytworzyło sobie specyficzną atmosferę, charakter, podobnie jak poszczególni ludzie. Mieszkańcy takich miejscowości znali się, tworzyli niemal rodzinę, nawet kłótnie czy niesnaski miały nie inny jak rodzinny charakter.

Nagle — powyższego typu miasto otrzymuje prezent w postaci miastotwórczego czynnika, jednej czy kilku fabryk razem z odpowiednią ilością ludzi naturalnie obcych. Miasto rośnie, rozwija się, ale wewnątrz dokonują się rewolucyjne wprost rzeczy. Zmienia się powietrze, w rodzinę wpychają się obce ciała, z innymi nawykami, obcym zapachem skóry..., skrystalizowana, od wieków ustalona atmosfera rozpryskuje się jak pocisk, miasto staje się po prostu inne, dla dawnych „pniaków" obce. Dawni mieszkańcy tracą poczucie stałości, pewności siebie, usuwają się w jakieś kąty, zakamarki, widać zamęt, destrukcje, upadek wiekowych autorytetów, ustalonych norm społecznych i moralnych.

Jest to zjawisko jasne i naturalne.

Pisząc, wciąż mam na myśli województwo rzeszowskie. Jest to jak wiadomo województwo nowe, a nawet całkiem nowe. Natomiast tereny, które się na nie złożyły, mają dzieje bardzo dawne i różnorodne. Weszły więc na nowe gospodarstwo z różnie wyposażonymi tobołkami. W najbliższej przeszłości częścią były to obszary woj. lwowskiego, a częścią krakowskiego, ale w dalszej — lwowskiego, bełzkiego, sandomierskiego i krakowskiego. Zaś w przeszłości jeszcze dalszej... no, zabrnęlibyśmy w istne ostępy. A więc raj dla historyków, etnologów i etnografów, nie mówiąc już o archeologach. Może więc Rzeszowskie zatrudnić wielu, bardzo wielu regionalistów, historyków regionalnych.

Dzisiaj Rzeszowskie jest południowo-wschodnim narożnikiem Polski, a więc ziemią kresową, patrząc tak od północy jak i zachodu. A że w ogromnych swoich lasach, przypominających dawne puszcze ma dużo autochtonicznych wilków (mnożą się bestie na potęgę!), gdzie przeprowadza się osadnictwo — wielu ludzi z tzw. „Centralnej Polski" patrzy na to województwo (a już szczególnie łowcy reportaży zamiast grasujących wilków) jak na kraj egzotyczny, gdzie można doznać różnorakich przygód (w tym i reporterskich). Na takim terenie jak Rzeszowskie, aż się kłębi od zagadnień, problemów, życie miecie nimi jak wiatr tumanami śniegu, owszem — zdarza się, ten i ów publicysta, miejscowy lub „zagraniczny" pochwyci jeden z nich i rozwinie, przedstawi ale nie zawsze rozpracuje do końca. Owi publicyści czy reportażyści, zamiast na grubą zwierzynę (coś jak wilki) w postaci problemów, wolą polować na drobniejsze „gady" w postaci efektownych tematików. A jeśli nawet ten i ów pochwyci ważny problem (jak diabła za rogi), to się go zlęknie i potraktuje ostatecznie jak temacik. Ale przykład: niedawno w „Życiu Warszawy" ktoś poruszył rzeczywisty problem, jakim jest Przemyśl, a właściwie jego upadek czy stagnację. Praktycznie, jedno z najstarszych i najkulturalniejszych miast w Polsce, czego dowodem zabytki tak archiwalne jak sztuki oraz kultury, a które na przestrzeni między Krakowem i Lwowem spełniało ważną rolę w ciągu wielu wieków. Po drugiej wojnie poczęło konać. Autor artykułu raz-dwa znalazł przyczynę choroby Przemyśla, a ściśle, to nawet znalazł jego zabójcę. Powiedział tonem sędziego, wskazując palcem: to Rzeszów! Rzeszów zabrał pokarm przeznaczony dla swego rywala i spowodował głodowe konanie. Typowy przykład potraktowania problemu jako sensacyjnego temaciku.

RZESZÓW — Ratusz

Nie jestem publicystą, jestem naukowcem a ściśle mówiąc — regionalistą, historykiem kultury regionów etniczno-kulturowych, składających się na rzeszowskie województwo. Czuję się tu „pniakiem" (stąd nie bardzo lubię tzw. „ptaków", tj. przelotnych mieszkańców), bowiem jestem autochtonem, licząc z przodkami od drugiej połowy XIV w. Wiem to i wierzę w to. To też daje jakie takie uprawnienia.

Rzeszów w ciągu kilku lat, ze szczególnym natężeniem w latach 1955—56, prowadził zaciętą kampanię o zdobycie wyższej uczelni (bynajmniej nie uniwersytetu) chcąc mieć źródło naukowego spojrzenia na zagadnienia województwa. Zdaje się, że walczącym powiedziano, że jest to wykluczone i dali sobie spokój. Niemal całkowity, może w myśl zasady, „jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma". Wrócili więc do dawnej miłości, to jest do miłości spokoju. A może zagapieni w zjawisko, jak rzeczywiście w podziwu godny sposób powstają to tu, to tam, nowe a nieraz potężne czynniki miastotwórcze, w sensie nowych zakładów produkcyjnych (chociażby ostatnio siarka). Wkrótce województwo rzeszowskie będzie należało do najbardziej uprzemysłowionych terenów Polski, co rozszerzy konsekwencje, o których powyżej pisałem. Mechanicznie niemal narzuca się

dokończenie str. 2

Kiedy zwrócono się do mnie, abym napisał okolicznościowy felieton z racji **400-go numeru „Nowin Tygodnia"** — zaniepokoiłem się, ponieważ jest to wyjątkowo trudne zadanie nawet wtedy, gdy ma się słabość do jubileuszów. Bo przecież co wszystko w takim wypadku trzeba by zrobić: pokazać dzień dzisiejszy Rzeszowa i województwa, nie zapominając o przebogatej tradycji, a równocześnie o perspektywach tej części kraju, o życiu duchowym naszego społeczeństwa i przede wszystkim o tym, jakie odbicie znajduje ono w „Nowinach", a wtedy miejsca by nie starczyło, poza tym czytelnicy potrafią od siebie bardzo dużo na ten temat powiedzieć.

Zdawałem sobie sprawę, że niczego specjalnie nowego, interesującego nie wymyślę i wówczas zabrały głos... **same „Nowiny Tygodnia"!** Proszę się nie uśmiechać... Leżały na stole różne ich numery — lepsze i gorsze, starsze i nowsze, z roku 1953 i 1957, a także — ostatni numer 399... Naprzód — pamiętam — odezwała się strona czwarta jakiegoś bardzo pożółkłego numeru, później mówiły dwie strony pierwsze, jedna trzecia i kilka drugich, ponieważ niektóre numery były otwarte.. Zacząłem skwapliwie notować, wszystkiego nie udało mi się — niestety — uchwycić; będą to więc tylko fragmenty rozmowy ciekawej, albowiem bardziej szczerej od tych, które na ogół prowadzą ludzie.

OTO, CO USŁYSZAŁEM:

„Przedmioty — mówiły „Nowiny Tygodnia" — podobno nie mają głosu, **a my mamy głos.** Należymy do świata martwego, **a żyjemy.** Czterysta numerów „N. T", to 400 tygodni naszego życia, wypełnionego walką o rozwój kulturalny ziemi rzeszowskiej. Na naszych stronach wysunięte zostało mnóstwo wniosków, projektów i postulatów; pochwały przeplatały się czasem z ostrą krytyką. „Nowiny" wykazywały błędy i braki, nie ustrzegając się też same niekiedy przed niedopatrzeniami.

Dotychczasowy nasz żywot nie można nazwać spokojnym. Okres wydawania „Nowin Tygodnia" nie jest jeszcze zbyt długi, ale też trudno powiedzieć, aby był bardzo krótki. Takiego wieku **(około 8 lat)** rzadko dożywają np. pszczoły, mrówki czy nawet ostrygi. W tym czasie wiele gazet wojewódzkich zlikwidowało dodatki lub zmieniło ich nazwy i charakter. To niebezpieczeństwo też nam groziło, ale zostało szczęśliwie zażegnane.

Publikować na swoich łamach wartościową twórczość a równocześnie zajmować się sprawami upowszechnienia i brać czynny udział w organizowaniu życia kulturalnego — nie jest rzeczą prostą, choćby ze względu na małą objętość dodatku. Tak wiele zadań wystarczyłoby dla osobnego tygodnika społeczno - kulturalnego, na wydawanie którego — mimo czynionych prób — nie ma jednak na razie możliwości. Szczupłość miejsca przypomina nieraz przysłowiową za krótką kołdrę... — jeśli rozwiąże się jeden problem, to drugi zostaje otwarty".

Głosy, którym się przysłuchiwałem, dotyczyły różnych spraw: przydałby się lepszy papier, przy starannie wykonanych kliszach ze zdjęć, byłby większy pożytek itd.

„Nowiny Tygodnia" z wrodzoną sobie skromnością nie chciały jednak dużo mówić o sobie. Więcej uwagi poświęciły autorom, redaktorom i swoim czytelnikom. Muszą mi darować, że uchylę rąbka tajemnicy i zdradzę niektóre ich myśli, a chociaż mogą się one komuś nie podobać, to jednak uważam, iż warto się nad nimi zastanowić.

Po pierwsze — to co dotyczy autorów. Dowiedziałem się mianowicie, że niektórzy miejscowi autorzy z zasady nie dotrzymują terminów, nie zgadzają się na skracanie swoich artykułów, choć jest to często konieczne, a szczególnie nie lubią, gdy się z nimi polemizuje. „Nowiny Tygodnia" najbardziej cenią wiernych autorów, nie piszących od przypadku do przypadku, lecz regularnie nadsyłających aktualne i wartościowe materiały. Należą do nich m. in. **inż. J. Gryziel, doc. E. Kotula, dr T. Stanisz, tow. J. Pleśniarowicz.** Przede wszystkim trzeba więc starać się o zwiększenie grona stałych współpracowników. Pocieszające w tym wypadku są niektóre udane ostatnio debiuty literackie, jak np. A. Gierowskiej, W. Kuligowskiego i L. Mazeli. Przykład J. Walawskiego, który kiedyś stawiał pierwsze kroki w „Nowinach Tygodnia", a dziś mimo to, że stał się już wziętym poetą, nie stracił z nimi kontaktu — pozwala przypuszczać, iż obecni debiutanci zachowają również gościnne łamy we wdzięcznej pamięci.

A teraz redaktorzy! Raczej zbyt nieśmiało — zdaniem „N. T." — angażują się osobiście w rozwiązywanie istotnych zagadnień bieżącej polityki kulturalnej. Szereg projektów z braku konsekwencji (jak również — bądźmy sprawiedliwi — z braku środków), nie może wciąż doczekać się realizacji. Jeszcze bardziej ścisła powinna być więź redakcji **z terenem.** Ponieważ lokalne środowisko artystyczne, literackie i naukowe na razie nie rozwinęło się — nieodzowne jest z drugiej strony utrzymywanie żywych stosunków **z centrami kulturalnymi w kraju,** w których przebywa m. in. wielu wybitnych twórców i działaczy, pochodzących z tych okolic.

I wreszcie — czytelnicy! Dzielą się na pożeraczy gazet, pochłaniających wszystko od początku do końca, na tych, co przeglądają tylko „Nowiny Tygodnia" i na takich, którzy chcieliby się, że ich nie czytają, choć kupują. W tej ostatniej kategorii należą pewni ludzie, którzy skądinąd pragną uchodzić za kulturalnych.

Wśród czytelników mają „N. T." wielu serdecznych przyjaciół, przysyłających listy, służących radą i pomocą. Dało się zauważyć, że osoby, mające najwięcej do powiedzenia w sprawach kultury — cechuje życzliwa wyrozumiałość. Natomiast nieprzychylny stosunek wobec „Nowin Tygodnia" przejawiają przeważnie ci, którzy sami nie całkiem są w porządku. Jeśli kogoś skrytykować, to często jedyną reakcją jest obraza. Co gorsza — niekiedy, gdy nawet napisze się dobrze — też można spotkać się z pretensją, że nie użyto samych superlatywów. A przecież sielanka do niczego dobrego nie prowadzi. Tylko ożywiona dyskusja, od której trudno uciec — może stworzyć właściwy klimat w dziedzinie kultury.

Dyskusję tę pragną „Nowiny Tygodnia" kontynuować z jeszcze większym — niż dotychczas — natężeniem. I jeszcz jedno — prośba do czytelników, biorących czynny udział w życiu kulturalnym, do placówek artystycznych i oświatowych, do działaczy świetlicowych: nadsyłajcie informacje ze swego terenu, dzielcie się doświadczeniami za pośrednictwem pisma.

OGÓLNE WRAŻENIE

Z podsłuchanej rozmowy, prowadzonej przez różne numery „Nowin Tygodnia" — odniosłem takie wrażenie: jeśli osiągnięcia mieli plastycy, ten czy inny Dom Kultury lub zespół — to było to niewątpliwie ich zasługą. „Nowiny Tygodnia" własnej zasługi w tym się nie dopatrywały. Natomiast każda porażka była po części wspólna. Oby więc zjawiska negatywne coraz szybciej znikały z powierzchni naszego życia kulturalnego. W dniu jubileuszu „N. T" życzą sobie, żeby w przyszłości mogły im poświęcać jak najmniej miejsca.

Relacji tej nie daję żadnego tytułu, bo jest ona nieoficjalna. Zresztą wszelka oficjalność nie wychodzi zazwyczaj jubileuszom na zdrowie. Niech to skromne święto będzie przede wszystkim okazją do wyciągnięcia właściwych wniosków na przyszłość, aby przy pięćsetnym numerze „Nowin Tygodnia" nie było już powodów do utyskiwań z niczyjej strony.

J. MIR

W NUMERZE:

IGNACY WOLAŃSKI — Gorycz spotkania (opowiadanie) * *J. R. — Muzyczne kulisy* * *J. G. FALL — A San szumi dalej...* * *ADAM SOCHA — Galicyjskie zapiski* * *FRANCISZEK BŁOŃSKI — Warto kolekcjonować* * *JAN GRYGIEL — Powrót oraz specjalna kolumna „Małe Nowiny Tygodnia".*

OKIEM „PNIAKA" 1

dokończenie ze str. 1

zjawisko, że równowaga między kulturą techniczną, między stroną materialną a kulturą, którą tradycyjnie nazywamy duchową, już została zwichnięta. I oto przywrócenie równowagi miedzy obu stronami, to problem, na którego rozwiazanie trzeba poświęcić wiele wysiłków, winny mieć miejsce liczne pomysły i dyskusje. Na tym miejscu chce zająć sie jedynie jednym odcinkiem tego problemu, ale może najbardziej zaniedbanym. Inne działają i to sprawnie.

W dniu 3 grudnia ubr. w ramach akcji decentralizacji zarządu sprawami kultury i sztuki, w obecności ministrów zostały przekazane radom wojewódzkim muzea II kategorii, a więc i tzw. muzea okręgowe tj. wojewódzkie. W czasie tej uroczystości doc. dr K. Malinowski, dyrektor Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków powiedział, że muzea okręgowe w miastach, które nie mają uniwersytetów, w pewnej mierze muszą je zastąpić. I następnie, że... Muzeum w Rzeszowie robi to z powodzeniem.

Nie ulegając zasadniczo działaniu wody sodowej zdaję sobie sprawę, że dystans między aspiracjami a realizacją tychże jest bardzo wielki i nigdy nie zostanie pokonany, posiadam bowiem poczucie rzeczywistości. Kapitulować jednak nie wolno i musi się wybrać środek, tzn. że Rzeszów, mimo że nie ma i nie otrzyma wyższej uczelni typu humanistycznego, jako miasto wojewódzkie i największe w województwie, z widokami znacznego rozwoju, musi się stać obok innych i centrem ruchu naukowego, który jest nieodzownym składnikiem prawdziwej, pełnej kultury. Głównym celem tego ośrodka byłoby naukowe podchodzenie do odpowiednich problemów.

Rozejrzyjmy się tedy czy Muzeum w Rzeszowie posiada realne dane, aby stać się centrum regionalnego ruchu naukowo-badawczego, na wysokim poziomie. Otóż: zacznijmy od pomieszczenia. W tej chwili na ukończeniu jest remont i adaptacja na cele muzealne zabytkowego klasztoru z I poł. XVII w. (w czasie remontu odkryto cenne malowidła XVII-wieczne). Wprawdzie posiadany budynek nie rozwiąże w pełni potrzebnej powierzchni użytkowej, ale obok znajduje się budynek liceum, ongiś też należący do Pijarów, dziś na cele szkolne już nie nadający się z bardzo wielu względów. Konieczność budowy nowoczesnego gmachu jest bijąca, stary budynek mógłby służyć celom powyżej przedstawionym — celom nauki.

Moment drugi, jest problemem ogólnopolskim — zapewnienie pracy młodym naukowcom, którzy już żadną miarą nie znajdą pomieszczenia w starych ośrodkach naukowych. Oczy ich coraz częściej zwracają się na tzw. prowincje jeszcze bardzo chłonne. A przecież do niedawna obserwowaliśmy coś odwrotnego, ucieczkę z prowincji do starych ośrodków, niemal zupełne jej wyjałowienie. Sprawiedliwości stanie się zadość, bowiem potrzeba wiedzy o własnym środowisku w społeczeństwie jest silna. Tylko... władze muszą zapewnić młodym naukowcom znośne warunki, przede wszystkim mieszkania.

Dalszym warunkiem dla rozwoju nauki są odpowiednio zaopatrzone biblioteki I z tym większego kłopotu nie byłoby; jest biblioteka wojewódzka (w zasadzie oświatowa współczesna), pedagogiczna (w zasadzie zawodowa, ale i dla nauki cenna) no i własna muzealna, ściśle naukowa, humanistyczna. Ma kilkanaście tysięcy dzieł, stale się powiększa. Ale jest w mieście jeszcze druga biblioteka naukowa, założona ongiś przez Pijarów, uzupełniana w XIX i XX w., dziś już tak dla nauczycieli, jak i tym bardziej dla

uczniów, mało przydatna. Jest też właściwie społecznie martwą pozycją. Połączenie tego księgozbioru z biblioteką muzealną dałoby w sumie pokaźny warsztat.

Dalszym nieodzownym warsztatem dla pracy naukowej, to archiwum. I tu są jak najlepsze widoki. Kończy się remont i adaptacja zabytkowej synagogi z XVI w., właśnie na pomieszczenie Archiwum Wojewódzkiego, które z konieczności tj. z braku pomieszczenia w Rzeszowie jest na wygnaniu w Przemyślu. Wróci wkrótce do nowego gmachu. Archiwum to zasobne, zawierające wiele materiału zupełnie nie wykorzystanego, uzupełnione będzie materiałami wcześniej pozyskanymi z terenu przez różne archiwa, dosłownie z całej Polski. A i znaleźć jeszcze można dużo.

Badania regionalne propagowane są dziś i to bardzo usilnie przez najwyższe czynniki naukowe jak PAN oraz PTH. Bowiem dopiero ich wyniki w postaci wartościowych opracowań pozwolą na pełne ujęcie dziejów kultury naszego narodu i pozwolą odpowiednio naświetlić współczesne zagadnienia.

Jeśli chodzi o regionalizm, to tereny województwa rzeszowskiego mogą dostarczyć bardzo cennych tematów. Tędy przebiegały międzykontynentalne szlaki handlowe i wojenne, krzyżowały się kultury i narody. Na międzynarodowe badania czekają całe Karpaty, problem Grodów Czerwieńskich itd. Dlatego też niektóre uczelnie radzą swoim magistrantom ustalać tematy swych prac magisterskich właśnie w Muzeum w Rzeszowie.

Społeczeństwo nasze za zasadnicze czynniki miastotwórcze, w sensie wprost i przenośnym, uważa niemal wyłącznie zakłady produkcyjne Niewątpliwie są one najważniejsze, dając podstawę materialną życiu, ale instytucje naukowe też są ważnymi czynnikami, stwarzają bowiem specyficzną atmosferę, bez której trudno sobie wyobrazić nowoczesne, wielkie miasto, a które to ambicje posiada Rzeszów. Równowaga powinna i musi być utrzymana. Tylko poważna, wysoce kulturalna atmosfera potrafi ogarnąć różnych przybyszów i wtopić ich w harmonijnie działający organizm, zmusić do myślenia kategoriami wielkomiejskimi.

Jak już wspomniałem na woj. rzeszowskie składa się cały szereg regionów etniczno-kulturowych o własnych bogatych tradycjach, mających własne potrzeby naukowe. Takim samoistnym regionem jest wschodnia część województwa, którego naturalnym centrum jest Przemyśl, i który jest dawnym ogniskiem naukowo-badawczym. Regionalnym ośrodkiem naukowo-badawczym może się stać, a być może i wkrótce stanie Krosno na Podgórzu, ze swoimi specyficznymi problemami geologicznymi. Ale wracam do Rzeszowa, który już dziś mógłby się stać miastem 100-tysięcznym, gdyby dysponowało odpowiednią ilością mieszkań. Na takie bowiem predestynują go już istniejące produkcyjne czynniki miastotwórcze.

Rzeszów ma jeszcze inne aspiracje, również silnie uzasadnione; stać się ośrodkiem ruchu artystycznego w różnych aspektach. Już ma teatr państwowy, orkiestrę symfoniczną, średnią szkołę muzyczną, działa w nim spora grupa plastyków. W miasteczkach, po wsiach żywotne są jeszcze liczne ośrodki sztuki ludowej, itd., ale... znów to ale, niestety.

W Rzeszowie, w mieście które już znacznie przekroczyło 60 tys. mieszkańców, nie ma dosłownie ani jednej sali, gdzie by już nie w bardzo dobrych, a przynajmniej w dostatecznych warunkach urządzić jakąkolwiek wystawę: plastyczną, sztuki ludowej, rzemiosła artystycznego itp. No, nikt może nie zechce uwierzyć, ale nie ma. Toteż dochodzi do paradoksów, wystawy obrazów w bufecie kinowym, albo gdzieś w jakichś sieniach... aż przykro o tym mówić. A przecież jest w mieście druga zabytkowa synagoga, wspaniały gmach, remontowany już kilka lat (szczyt ślamazarności), właśnie z przeznaczeniem na locum wystawowe; tak dla wystaw własnych jak i przyjezdnych. Te ostatnie z konieczności Rzeszów omijają, nikomu nie w smak wystawiać obrazy w oparach piwa.

Z powyższego widać, że na prowincji, gdzie albo w ogóle, albo słabo jeszcze działają czynniki „wielkomiejsko-twórcze" (co za dziwoląg językowy) niektóre sprawy kultury traktowane są wciąż jakoś niezdarnie i bardzo peryferyjnie. Śmiem powiedzieć z powodu jakiejś niedoceny znaczenia istotnej kultury w ogóle.

I oto w tym momencie jesteśmy świadkami, a także i uczestnikami przemian, jakie z sobą niesie decentralizacja, kierowania sprawami kultury i jej instytucjami.

Czego można by sobie już nie tylko życzyć, ale i chcieć spodziewać się, że nowe rady, przede wszystkim wojewódzka, zasilona świeżym elementem, mając położone na sumieniu sprawy kultury, przeniosą je z peryferii w centrum zainteresowań, że nowe rady wojewódzkie z tych miast, które nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nie otrzymały wyższych uczelni, mimo wszystko uczynią z nich regionalne ośrodki kulturalne w całym tego słowa znaczeniu, w których będzie tętniła również tak praca naukowo-badawcza jak i wydawnicza. Muzem w Rzeszowie podaje rękę na znak, że deklaraćję swoją gotowe jest wypełnić w 100 proc.

Na zakończenie optymistyczny komunikat:

W związku z 600-leciem m. Rzeszowa, dzięki subwencji Prez. MRN w Rzeszowie opracowano księgę pamiątkową, która została włączona do wydawnictwa PIW.

Reaktywowane Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie, jak najściślej pracujące z Muzeum, opierając się na subwencji Prez. WRN w Rzeszowie w najbliższym czasie przystąpi do wydania „Rocznika Województwa Rzeszowskiego", a który jest pomyślany jako wydawnictwo ciągłe.

Tak więc początki rokują dobrą przyszłość.

FR. KOTULA

Znana gwiazda filmowa Rita Hayworth po raz piąty „popełniła" małżeństwo. Tym razem wyszła za producenta filmowego James Hilla. Nowożeńców widzimy w chwili zawierania kontraktu ślubnego w Santa Monica (Kalifornia — USA). Fot — CAF

LIST DO REDAKCJI

RZESZÓW PRZYSZŁOŚCI

PRAWIE co tydzień można spotkać w „Nowinach" krótką wzmiankę, że NOT urządza kolejne spotkanie towarzyskie. Są to znane już niektórym tzw. „czwartki techniczne", przeznaczone w zasadzie nie tylko dla techników i inżynierów poszczególnych branż, ale dla wszystkich obywateli, którzy choć trochę interesują się sprawami tego środowiska.

Na prelekcjach zapoznać się można z najbardziej aktualnymi problemami naszego miasta i województwa, które w sposób jasny i przystępny referowane są przez specjalistów poszczególnych dziedzin. Radziłbym więc nie przepuszczać okazji i jeśli kogoś jakiś problem interesuje — niezwłocznie przychodzić na odczyt. Wstęp wolny!

Podczas ostatniego czwartku mgr inż. arch. Michał Mermon — główny projektant miasta Rzeszowa, referował zagadnienie „perspektywicznego rozwoju Rzeszowa". Należy dodać, że za opracowanie tego planu zespół urbanistyczny miasta Rzeszowa uzyskał I nagrodę w skali państwowej.

W prelekcji poruszone zostały takie zagadnienia, jak: położenie miasta pod względem geograficznym, klimatycznym, geologicznym, pod względem komunikacyjnym i układu przestrzennego poszczególnych elementów miasta.

Ciekawą jest np. rzeczą, nie znaną z pewnością szerszemu ogółowi, że Wisłok kilka wieków temu płynął po zachodniej stronie starego miasta, tzn. na zachód od Zamku, na zachód od dzisiejszego gmachu poczty głównej i na północ od rynku. Stwierdzono to na podstawie badań i poparto przez stare jeszcze XVII-wieczne plany miasta.

Na podstawie szczegółowych badań i analiz wyciągnięto wnioski dotyczące braków w dziedzinie mieszkalnictwa oraz komunikacji i usług w Rzeszowie. Wskazano także na najbardziej racjonalne sposoby naprawiania braków. Np. zasadniczym zadaniem omawianego planu w zakresie budownictwa jest poprawienie warunków mieszkaniowych, ze stanu obecnego wynoszącego 1,94 mieszkańca na izbę na 1,7 mieszkańca w roku 1965. W zakres tego wchodzi również likwidacja suteren i poddaszy.

W dziedzinie komunikacji planuje się wybudowanie nowych przelotowych arterii komunikacyjnych, kilku wiaduktów ponad torami kolejowymi oraz dwóch mostów nad Wisłokiem, które by połączyły części miasta położone po obu stronach rzeki.

Przewiduje się także elektryfikację kolei oraz odciążenie obecnego dworca osobowego przez wybudowanie dworca towarowego poza miastem, a także przez wybudowanie odcinka toru omijającego miasto od północy.

Nie zapomniano o rozrywkach i sporcie. Przez spiętrzenie wody na Wisłoku miasto uzyska wygodny ośrodek sportów wodnych. Opracowany jest także plan zadrzewienia i zakrzewienia miasta, który już tej wiosny może być realizowany.

Oczywiście kosztorys tych inwestycji, które jak widać są konieczne, aby nasze miasto mogło dorównać innym miastom wojewódzkim i aby rozładować już dawno palące problemy mieszkaniowe, komunikacyjne i kulturalne, zamyka się cyfrą ok. 9 mld. złotych. Jasną jest rzeczą, że realizacja tego programu rozłożona jest na szereg lat.

Reasumując podkreślić należy, że plan rozwoju miasta jest nadzwyczaj wszechstronnie i logicznie opracowany. Jeśli więc będzie konsekwentnie realizowany, wszystko w mieście będzie się zmieniać na lepsze.

Wielkie zadanie ma tutaj do spełnienia miejscowa prasa, która na pewno po gruntownym zapoznaniu się z założeniami planu, stanie się jego gorącym propagatorem. Potrafi też na pewno zainteresować nim ogół czytelników, a przede wszystkim ojców naszego miasta, od których przecież realizacja planu zależy.

mgr Jan Piaskacz

IGNACY WOLAŃSKI

GORYCZ SPOTKANIA

(Opowiadanie)

— Może jeszcze pozwolisz?

Wstrzymałem nachyloną flaszkę, z której Wacław chciał mnie uraczyć nową porcją wina i zauważyłem z przekąsem. — Nie, mój drogi, zdaje mi się, że na dzisiaj wystarczy tego dobrego. Późno już jest. Trzeba mi wracać do domu i nie uśmiecha mi się skakać przez miotłę...

— Nie jest to najgorsze — odparł dobrodusznie — byle tylko miał kto taką miotłę potrzymać. Widzisz, siedzę jak borsuk w tym mieszkaniu. Taki odludek wytrącony z biegu. Mnie to szczęście z miotłą nie spotka...

— Ładne mi „szczęście" — zakpiłem, śmiejąc się beztrosko i łypiąc okiem w stronę Wacława. I naraz zrozumiałem, że ten żartobliwy ton nie jest na miejscu i może urazić przyjaciela, któremu tragiczny los odebrał żonę w dniach wojny. I od tego czasu, chociaż minęło tyle lat, Wacław nie zmieniał swojego stanu cywilnego. Trwał w tej swojej samotni zaskle piony, zgorzkniały i obojętnie przyjmował nowe przejawy życia, które niosły mu dni. I tak sobie skomplikował swój obecny żywot, że w gronie znajomych uchodził za dziwaka. I niejednokrotnie żartowano z jego upartych postanowień, przedstawiając kuszące propozycje — ale Wacław nie dał się nakłonić do przyjęcia złotej obrączki.

I ten dziwak, który nie znosił nawet kropli alkoholu, stał się od kilku dni zapalonym wielbicielem kieliszka. Nie lada zdarzenie musiało go wytrącić z równowagi, że tak potrafił marnotrawić własne ustatkowane rygory swoich zapatrywań — oddając się z taką pasją nowej namiętności.

Patrząc teraz na tego skromnego i wykształconego człowieka, izolowanego dotychczas od wszelkich uciech — nie mogłem zrozumieć przyczyn tej nagłej zmiany. Jego szarzyzna dni codziennych nie miała żadnych spięć, o których bym nie wiedział. Cóż, do diabła, mogłoby to być. Czyżby dotychczasowe samopoczucie Wacława wywróciło kozła i nastąpiło psychiczne załamanie?

— Wacławie — rzekłem po długim namyśle — przyznaj się...

— Do czego mam się przyznać — odparł wymijająco, obserwując mnie spode łba.

— Nie ładnie z twojej strony — cedziłem wolno, uporczywie patrząc w jego twarz podnieconą teraz alkoholem — abyś się zaszywał z tym twoim „robakiem" w sieć tajemnicy.

— Nie ma żadnej tajemnicy — cisnął opryskliwym głosem. — Nie ma żadnego robaka. O, napijemy się! W tym jest dobra ucieczka... Ho! Ho! Można tego... utopić... i rozpacz... i ból... i zapomnieć, zapomnieć... — chwycił flaszkę, zawirował nią po stole, poprzewracał kieliszki, z których jeden stoczył się nawet na podłogę. Podniósł go zaraz z uciechą, że się nie rozbił. — To będzie mój, bo jest twardy — stwierdził z zadowoleniem. — No, kochany, podstaw swój kieliszek i używaj dnia...

Czerwony płyn wionął przyjemnym zapachem. Unosząc kielich pod światło, wtrąciłem strofująco:

— Wspaniały jesteś płynie dla człowieka zdrowego, ale — tu spojrzałem z ukosa na Wacława — to sercowe chuchro powinno uważać na siebie i nie chlać alkoholu bez liku, bo je trafi kiedyś...

— Najwyżej — przerwał mi z wisielczym humorem. — Szkoda żałować lasu jak róże płoną...

— Ty mi tu nie pleć o różach — strofowałem go. — Tylko przyznaj się jak przyjaciel — co się z tobą stało? Miej litość, psiakrew, nad sobą i nie chlaj tyle wódki. Mówię ci. Wpadniesz w nałóg i nawet dziesięć akuszerek nie odbierze cię stamtąd. Masz już siwy łeb, nienaganną osobistą kartotekę, medal za waleczność, stałe miejsce na cmentarzu i taki się zrobiłeś, nie powiem — głupi — bo mi szkoda twojego wykształcenia, ale że jesteś pijaczyna to fakt!

Zaciął się. Nie odpowiedział. Z tą dużą głową, pochyloną do przodu, nasrożył się jak niedźwiedź szykujący się do obrony. Jedynie to czoło myślące, zmarszczki napięte bólem, oczy przymrużone żalem i każdy ruch ręki, każde drgnięcie mięśnia na twarzy zdradzały nieszczęśliwego człowieka.

— Boisz się współczucia — palnąłem niecierpliwie. — Miętosisz tę swoją rozterkę, a zapominasz o tym, że jedno ramię ludzkie podane serdecznie...

Przerwał mi roztrzęsionym głosem. — Niewiele może mi pomóc... Zresztą pławię się we własnym smutku i tyle... Chcesz — opowiem. Wiesz, że spędziłem część urlopu u Władka.

— Czy to ma coś wspólnego z tobą — przerwałem nagle.

Zganił mnie, że mu przerywam. Potem już spokojniejszym głosem opowiadał dalej. — Chłop mnie tyle razy zapraszał do siebie, że nie miałem sumienia, aby odmówić mu w tym roku. Nawiasem mówiąc, nie widzieliśmy się od czasu tej niewoli. Otóż pech chciał, kiedy wracałem autobusem popsuł się motor. Widoków nie było na szybką naprawę samochodu. Byłem szczęśliwcem. Przy sobie miałem tylko teczkę. A dowiedziałem się, że do stacji kolejowej jest coś siedem kilometrów, więc ruszyłem w drogę. Miało się prawie pod wieczór. Liczyłem jednak na to, że zdołam wyprzedzić nadchodzącą noc. W drodze złapał mnie deszcz. Na sobie miałem letni prochowiec. Skorzystałem z opodal stojącego lasu i schroniłem się pod drzewa. Czas upływał. Noc zaczęła na dobre wchodzić w leśne podszycie.

Ruszyłem więc dalej ścieżką przez las. Może po kwadransie znalazłem się na polanie. Stała na niej leśniczówka. Jakiś mały piesek odłączył się od uwiązanych brytanów i biegł susami w moją stronę, zajadle szczekając. Gwizdnąłem na maleństwo i nagle piskliwe ujadanie jamnika zamieniło się w radosne skomlenie, urozmaicane merdaniem ogona. I tak, poprzedzany teraz przez krótkonożną psinę, wszedłem na ganek, gęsto zarośnięty dzikim winem. Zapukałem do drzwi. Chciałem się tu upewnić czy zdążam w dobrym kierunku. Ponieważ nikt się nie odzywał, wszedłem do kuchni. Zachrząkałem. I wtedy dopiero wybiegła z pokoju krępa postać mo-

notatnik KULTURALNY

GRA ORKIESTRA POD DYR. NAMYSŁOWSKIEGO

Przywykliśmy do tej zapowiedzi Polskiego Radia już do wielu, wielu lat. Nic dziwnego, orkiestra Namysłowskiego obchodziła właśnie jubileusz 75-letniego istnienia. Ta orkiestra włościańska należy dziś nie tylko do rewelacji kulturalnych Zamojszczyzny, ale jest trwałym elementem kultury narodowej.

ZABYTKOWE PODZIEMIA JAROSŁAWIA

Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków w Warszawie wykonało już ponad 80 proc. prac przy zabezpieczaniu zabytkowych podziemi Jarosławia. Podziemia te, pochodzące z XIV i XV wieku — to trzy czterokondygnacjowe piwnice oraz korytarze położone nieraz 12 metrów poniżej poziomu ulicy. Służyły one niegdyś do przechowywania towarów.

KOPCIUSZEK W WDK

Podczas premiery „Kopciuszka" w rzeszowskim WDK przelotem patrzyłem na scenę — ważniejsza była dla mnie reakcja widowni — tłumnie przybyłych z rodzicami dzieci. Dziecko jest bowiem bezwiednie surowym krytykiem i nader wymagającym odbiorcą. Ich zadowolone miny upewniały mnie, że przedstawienie to — przygotowane przez zespoły dziecięce WDK — jest naprawdę dobre. Co może być bardziej wartościowe od zapału, żarliwości małych aktorów i od wzruszenia będących w równym z nimi wieku słuchaczy?! Takie czy inne potknięcia schodzą w tym wypadku na drugi plan — tym bardziej, że było ich faktycznie niewiele.

Reżyserię i scenografię powierzono utalentowanemu artyście Państw. Teatru im. W. Siemaszkowej — Janowi Tesarzowi. Dobrał on bardzo szczęśliwie wykonawców poszczególnych ról. Na pochwałę zasługuje zwłaszcza Basia Wajdówna w roli Kopciuszka, jak też 10-letni chłopczyk, grający starego Króla. J.

Aktyw „Nowin Tygodnia". U góry: kierownik „N. T." — **Jerzy Piskor** (w okularach), red. **Jerzy Mirecki** (z luneta), doc. **Franciszek Kotula**, poeta **Jan Grygiel** (z siatką na motyle). U dołu: rysownik „Nowin" — **Jerzy Sienkiewicz**, mgr **Jerzy Pieśniarowicz** (odwrócony tyłem), red. **Krystyna Świerczewska** (zaczytana), red. **Cecylia Błońska**, red. **Edmund Gajewski** (przy sterze) i **Alfred Kud.**

MUZYCZNE KULISY

POTRZEBA stworzenia orkiestry symfonicznej w Rzeszowie wynikła sama przez się w trakcie działalności „studia operowego" przy WDK. Muzycy byli zgrupowani na miejscu, wyrażali chęć współpracy, trzeba było ich tylko zcalić w orkiestrę, jako instytucję państwową. I tu zaczęły się kłopoty. W Ministerstwie Kultury nie chciano wierzyć, aby to przedsięwzięcie udało się na dalszą metę. Wątpliwe wydawało się, czy Rzeszowskie jest środowiskiem, które będzie chciało wchłaniać tego rodzaju produkcję kulturalną. I czy to się opłaci. Trudną sprawą było skompletowanie zespołu przynajmniej do ram małej orkiestry symfonicznej (ok. 40 osób) i obsadzenie trudniejszych instrumentów. To pachniało grubszymi wydatkami. Trzy razy organizowano zespół i tyleż razy rozpadał się on z braku dotacji państwowych.

Wreszcie w marcu 1955 roku sejmowa komisja kultury umocniła pozycję orkiestry. Obecnie orkiestra liczy 49 osób. Zajęcia trwają 10 godz. (tyg.) dla porównania — orkiestra zawodowa pracuje 36 godz. Wynagrodzenie muzyków półetatowe. Skład jej jest bardzo zróżnicowany. Około 25 proc. stanowią nauczyciele szkół muzycznych, niewiele mniej uczniowie (i to nawet szkół muzycznych I stopnia). Ogółem 25 proc. to ludzie niezwiązani z zawodem muzyka; pracują głównie jako pracownicy umysłowi i fizyczni. Orkiestra jest więc zespołem na poły amatorskim. Jednak przy tym repertuarze symfonicznym, jaki wykonuje, brzmi to jak komplement.

Do dnia dzisiejszego muzycy nasi znajdują się w nadzwyczaj trudnych i nie sprzyjających rozwojowi warunkach; a mimo to orkiestra istnieje i działa. I to już ma swoją wymowę.

Dla każdego muzyka problem wydajności pracy rozpoczyna się od dysponowania doskonałymi warunkami akustycznymi pomieszczenia, gdzie ćwiczy oraz od dobrej jakości instrumentów. Otóż tymi ostatnimi w pełni nasza orkiestra nie rozporządza. Na kiepskim instrumencie wiele postępów nie zrobisz, a jakiż w dodatku efekt tych wysiłków?

Zobaczmy teraz próbę Orkiestry, którą, jak w naszym przypadku, odbywa ją w małej salce. Mieści się tam 40 i więcej muzyków razem. Jeden drugiemu dmie w kark; wali bęben, ryczą puzony, szlochają i jęczą skrzypce. Wibrują przenikliwie frulata picola i piski klarnetów, wdzierają się w głąb mózgu i powodują fizyczny ból. Wszystko tu sprzysięgło się, by znęcać się nad uchem ludzkim. Tak, praca naszych muzyków nie jest do pozazdroszczenia. Jakże jest możliwa w takiej sytuacji kontrola słuchowa? W sali o dostatecznej przestrzeni, dźwięk brzmi całą pełnią. Jego odbicie od ścian, tzw. „pogłos", powoduje, że dźwięk „wybrzmiewa". Za mały lub za duży pogłos (zależnie od wymiarów sali) niweczy cały wysiłek instrumentalistów.

W pomieszczeniu małym dźwięk jest „suchy", nieprzyjemnie ostry i momentalnie znika. Niemożliwe jest dostosowanie głosu swego instrumentu do pozostałych. W takiej salce (nazywanej „garnkiem") ćwiczenia trwają trzy razy tygodniowo. Przed koncertem pozwalają nam na próbę w sali kinowej. Jesteśmy wtedy w zupełnie innych warunkach dźwiękowych, ale równie skrajnie złych. Odkrywamy tutaj, że to, cośmy grali dotychczas w „garnku", brzmi źle. Jest jednak za późno, by cokolwiek zmieniać. Nad wnęką, w której tkwi zespół symfoniczny, wiszą długie kotary. Wchłaniają one większość dźwięków. Muzycy odnoszą wrażenie, jakby głowy mieli omotane watą. Część tylko brzmienia dociera do słuchaczy na widowni, przy czym pewne grupy instrumentów brzmią za cicho, innych wcale nie słychać.

Generalnym więc rozwiązaniem problemu byłoby zdobycie sali koncertowej. Jest ponoć taka w Rzeszowie — sala Zw. Zaw. Kolejarzy. Ale gospodarze jej panicznie boją się, że z chwilą wypożyczenia sali, orkiestra ich stamtąd wyruguje na zawsze. Więc nie wypożyczają. A może by tak za wzorem wojewódzkiego miasta Bydgoszczy, zbudować w międzyczasie własny gmach? Instancje wykonawcze musiałyby w tym wypadku widzieć celowość rozwoju kultury w Rzeszowskiem. Samo społeczeństwo to widzi; świadczy o tym duży procent stałych abonamentów na koncerty (70) i pełna frekwencja słuchaczy.

Godna podziwu jest inicjatywa dyrygenta J. Ambrosa, by przekształcić dzisiejszą orkiestrę na zawodową, a to nastąpić ma we wrześniu 1958 r. Skutkiem tego tylko kilka osób odpadnie od zespołu, by wykonywać swój dawny zawód niemuzyczny. Orkiestra otrzyma pełny wymiar godzin pracy i etatów. Nie będzie już dorywczego muzykowania. Można przygotować się gruntownie, „doszlifować" zespół do jednolitego poziomu. Możliwe będzie ustalenie takiego programu koncertów, by stopniować trudności tak ze względu na wykonawców, jak i odbiorców. Możliwe stanie się pogłębienie strony muzycznej wykonawstwa; staną się uchwytne dla zespołu różnice w stylach muzycznych różnych epok historycznych.

Zespół rzeszowski skupia ludzi bardzo zdolnych muzycznie. Coś podobnego da się powiedzieć o całym na ogół terenie woj. rzeszowskiego, wystarczy zaglądnąć do szkół muzycznych, by się przekonać. Szkoły zapewnią w przyszłości napływ młodych kadr do orkiestry. Nie patrząc na trudności lokalowe (kompromisowe rozwiązanie musi się znaleźć), trzeba stwierdzić, że ma ona wszelkie realne możliwości, by przejść na zawodowstwo.

R. J.

że piętnastoletniej dziewczyny, która na mój widok zawołała:

— Jak to dobrze, że pan doktor już przyjechał. Mamusia ma coraz większą gorączkę. — I ustępując mi z drogi, wskazała na drzwi. — Proszę wejść. Zaraz będzie światło.

— I dzisiaj jeszcze nie mogę tego zrozumieć — ciągnął dalej, ciężko oddychając — jak to się stało, że dałem się wprowadzić do pokoju chorej, nie będąc tym, którego oczekiwano. Widocznie jakiś diabeł zamurował mi usta. Gapiłem się tylko na krzątającą się koło naftowej lampy dziewczynę, zaskoczony rysami jej twarzy. Potem złapałem tętno chorej, która leżała twarzą do ściany. Mogła to być grypa, albo nawet zapalenie płuc. Oglądnąłem się, chcąc się spytać młodej osóbki od kiedy matka choruje, ale tamtej już nie było w pokoju. Rozejrzałem się po mieszkaniu. Naraz mój wzrok przypadł do złoconych ram. Podszedłem do tego portretu i osłupiałem ze zdziwienia. Przed sobą miałem Łucję!

Tyle lat rozłąki — skupiło taką szaloną tęsknotę za tą istotą, że w tej chwili cały świat skurczył się tylko do wymiarów obrazu, zamykającego podobieństwo ukochanej kobiety... Nagle chora zakaszlała.

Znalazłem się przy łóżku. Miała teraz oczy otwarte, twarz zmiętą cierpieniem, z wypiekami gorączki. I kiedy chciałem wyrwać z duszy jakieś najsłodsze słowo na powitanie — Łucja krzyknęła przeraźliwie, zasłaniając się rękami, jakby przed jakimś widmem. Na ten przejmujący krzyk wpadło do pokoju dwóch mężczyzn. Jeden z nich, pod wąsem, przypadł do mnie i groźnym głosem rzucił: — Co pan tu robi? Proszę natychmiast opuścić pokój! — I dość bezceremonialnie ujął mnie za ramię i wskazał drzwi. W kuchni natknąłem się znów oko w oko z młodą dziewczyną, która na mój widok, nie ukrywając oburzenia, chciała wejść do pokoju. Chwyciłem ją za rękę. Oniemiała w tym uścisku.

— Powiedz twojej matce... rąbnąłem jednym tchem i nagle jakiś ogromny żal zatłamsił moje dalsze słowa w krtani. Odrzuciłem rękę dziewczyny i gwałtownie wypadłem na pole, ogarnięte nieprzeniknioną ciemnością. Pędziłem jak szalony na oślep. Plątałem się w gęstych zaroślach. Przewracałem na wykrotach. Czułem, że po twarzy coś mi cieknie. I nie wiem, czy to były łzy, czy krew, czy tylko krople deszczu... Błądziłem w tym czarnym piekle drzew. Dziko szumiał las. Była to dla mnie straszna noc...

— I gdyby nie jamnik, nie wiem, czybym nie skręcił gdzieś karku w leśnych rozdołach. Ta psina, idąc za moim śladem w końcu dognała mnie i potrafiła doprowadzić z powrotem do leśniczówki.

— Dom stał teraz głuchy, uśpiony. Myśl, że chorej nie grozi żadne niebezpieczeństwo — łagodziła moją rozterkę. I tam na ganku, razem z nieodłącznym jamnikiem, zastał mnie świt. Wtedy ruszyłem w drogę. A kiedy znalazłem się na skraju polany, odwróciłem się, aby spojrzeć na ten dom... Na nowo szarpnął mną wściekły bunt. Wrócić! Wrócić! — huczało mi w mózgu. Przecież Łucja żyje.

Naraz poczułem ciepłe liźnięcie psiego języka na mojej ręce. Popatrzyłem na jamnika. Miał takie smutne oczy, jakby odzwierciedliła się w nich moja rozpacz...

Zadygotał we mnie żal... Stałem jakiś zagubiony, bezradny w tym obcym lesie — a postanowienie, które przed chwilą wydawało mi się takie istotne i nieodwołalne, zaginęło w zakamarkach obolałej duszy... Pogłaskałem psa i jeszcze raz spojrzałem na ten cichy dom. W jego czarniawych od wilgoci i deszczu ścianach znajdowała się Łucja. Nie oglądając się już więcej, wolnym krokiem zacząłem oddalać się od leśniczówki. I takie miałem gorzkie spotkanie, mój drogi.

Nastało długie milczenie.

— I co zamierzasz dalej robić? — spytałem wreszcie, zatrzymując przez chwilę wzrok na szpakowatej czuprynie Wacława, jakbym miał zamiar policzyć jego siwe włosy. Potem ostro zaopiniowałem: — Ludzie ginęli podczas wojny, ale były też wypadki wykorzystywania sytuacji. Zresztą ty, do diabła, masz przecież prawo za sobą!

Wacław nagle ożywił się, jakbym go czymś dotknął.

— Prawo — powtórzył.

Chciałem się uśmiechnąć do niego, aby go zachęcić do dalszych kroków w tej sprawie — kiedy uderzył mnie jego rozpaczliwy wyraz twarzy.

—Myślisz o prawie—zaczął urywanym i żałosnym głosem—a zapominasz o uczuciach ludzkich, węzłach, a nawet o okrucieństwie życia... Skąd mi da prawo tę rękojmię, że z Łucją przyjdzie jej uczucie... Może ta kobieta jest teraz zadowolona ze swego losu...

Ale słuchaj! — nastawał uporczywie, blednąc coraz bardziej. — Osądź ty. Tak bez domieszki tego wina, coś dzisiaj wypił, na chłodno, bez względu na osoby biorące w tym udział i powiedz. Czy jest sens, abym tam wrócił jeszcze do tego lasu, do tego domu na ustroniu — tylko dlatego, że Łucja była kiedyś moją żoną? — I spojrzał twardym, omal drapieżnym wzrokiem w moje oczy, dysząc ciężko.

— Może Wacław chciał jeszcze w tej chwili liczyć na jakiś ratunek. Słowo — które by mu pomogło w rozwiązaniu zagmatwanej sprawy. To, że sam nie mógł ciągle dać sobie rady ze swoją rozterką — było widoczne. Szukał wyjścia z tego dna wydarzeń — a to nie było takie proste...

Położyłem dłoń na grzbiecie jego ręki, a potem ścisnąłem serdecznie.

— Widzisz — wyszeptał gwałtownie — no, widzisz...

A SAN SZUMI DALEJ...

KTOKOLWIEK zabłądzi do tego oddalonego zakątka Rzeczypospolitej, który dziś nosi miano województwa rzeszowskiego, ten prędzej czy później zetknie się z nurtem rzeki, przerzynającej przez 400 km krainę od gór beskidzkich do Puszczy Sandomierskiej. Płynie San najpierw prądem wartkim, potem coraz leniwiej zbliża się do Wisły. Od dawien dawna wody jego przyciągały do siebie osadników. **„Potężna siła atrakcyjna wód płynących w dorzeczu Sanu jest zjawiskiem bardzo starym"** — pisze w broszurze naukowej M. Dobrowolska. **„Na górskim i wyżynnym obszarze ziemi sanockiej istniały w XV wieku niemal wszystkie dzisiejsze osady".**

Równocześnie był San źródłem miejscowej kultury duchowej. Rozwijały się legendy, baśnie, pieśni... **„Kto nie dowierza tym tradycjom, niech się przeniesie nad brzegi Sanu i napełniony duchem swobód, tą wonią patriarchalnego, niby dzikiego pożycia owych wieków, niech bada krok za krokiem każdą mogiłkę".** Tak pisał Korytko, działacz rewolucyjny 1848 r., który wyróżnił się oryginalną koncepcją dowodzącą, że obszar przylegający do Sanu był kolebką prasłowiańszczyzny.

Wspominano też o Sanie w literaturze, co prawda niezbyt często. W artykule tym postaram się omówić najważniejsze utwory związane z tą rzeką, lub też wymieniające ją tylko. Już w kronice Długosza możemy odnaleźć nazwę Sanu. Historyk ten twierdził, że koło góry nazwanej przez niego Beskidem znajduje się kamień, oznaczający granicę między Polską a Rusią. U stóp góry wytryskują rzeki: San, Dniestr i Stryj. U późniejszych historyków wersja ta jest powtarzana. Wspominano też o Sanie przy okazji omawiania różnych wydarzeń historycznych. Np. Naruszewicz przytacza wersję o przepłynięciu przez San z mieczem w ręku Bolesława Śmiałego. Niemcewicz wspominając o Kazimierzu Wielkim pisze, że w skład państwa weszli **„ci, co Sanu wody piją".** Tą synekdochą określa mieszkańców Rusi Czerwonej, ściślej zaś Grodów Czerwieńskich.

Luźne wzmianki na temat Sanu znaleźć można w „Potopie" Sienkiewicza oraz poemacie Kajetana Koźmiana „Stefan Czarniecki". Wzmianki te na ogół nie wnoszą jakichś cech poznawczych w stosunku do rzeki, są tylko uzupełnieniem i ściślejszym umiejscowieniem toczącej się akcji.

Pierwszą wierszowaną wzmiankę o Sanie dał w swym łacińskim poemacie „Roxolania" (1584 r.) Sebastian Klonowicz. We wstępnej apostrofie do muz poeta zakreśla sobie przedmiot następująco: **„Niech wszystkie miasta wasza pieśń wylicza, kędy San rzeka krętym wężem rżnie się".** To właśnie Klonowicz zapoczątkował utartą później i często powtarzaną przenośnię, polegającą na porównaniu Sanu z wężem; epitet „kręty" będzie w przyszłości podobnie nadużywany. Warto zauważyć, że symbol Sanu użyty został w szerszym znaczeniu, mianowicie dla zakreślenia obszaru, w którym rzeka ta tworzy jakby odrębną jednostkę geograficzną. Jest to szczególny rodzaj przenośni, polegający na wymienianiu części zamiast całości (pars pro toto).

Przy okazji wzmianki o Przemyślu Klonowicz twierdzi, że miasto godne jest wspomnienia, ponieważ opasuje je „swymi kręgi" San słodkowody". W napisanym po polsku „Flisie" ten sam poeta nazwie San „leśnym", mając oczywiście na myśli tę część, która przepływa przez Puszczę Sandomierską.

Ignacemu Krasickiemu, ewemu księciu oświeconemu, najbardziej rzucają się w oczy podczas podróży przez Ruś Czerwoną, przemiany cywilizacyjne. Polegają one przede wszystkim na ujarzmieniu niesfornej rzeki. Podróżny **„miłym się teraz zastanawia dziwem rączym Sanu płytkiego szumiące upływem".** Kiedy indziej, już w Przemyślu, nazywa Krasicki San „ujarzmionym", bo dźwiga na swych wodach most, co jest równoznaczne ze zwycięstwem myśli ludzkiej nad siłami przyrody.

Któregoś pięknego, letniego dnia wybrał się nad „brzegi rozkoszne Sanowe" Franciszek Karpiński w towarzystwie dwóch dam. Majówka udała się nadspodziewanie, co zaś ważniejsze, dostarczyła obfitego materiału obserwacyjnego do wiersza sporych rozmiarów. Uważny czytelnik znajdzie tam wiele oryginalnych wyrażeń, świeżych i ciekawych skojarzeń. San — według Karpińskiego — „niestatecznymi zakrętami bieży"; następuje uroczy dwuwiersz:

Wdzięczne kępy czystymi
ramiony okrywa
Chytry sam je porobił i sam
je zalewa.

Uderzają tu dwie rzeczy — pierwsza to przypisanie rzece cech istoty żywej (ramiona), a jednocześnie przeciwstawienie temu bezcelowości i ślepego działania, cechującego przyrodę martwą. Usiłuje to Karpiński wytłumaczyć „chytrością" rzeki, ale wyrażenie to brzmi tu trochę jak dysonans. Pięknej okolicy Dubiecka uroku dodawały czerwone promienie zachodzącego słońca, które blaskiem swym oświetlały wierzchy skał; musiał poeta czuć prawdopodobnie to, co w wiele lat później odkryli impresjoniści, musiał zobaczyć owe dziwy kolorystyczne, tak zaskakujące przeciętnego mieszczucha.

Jakby za mało było tych niespodzianek, bo na domiar owe dziwy odbijały się jeszcze w nurcie rzeki. **„...te ozdoby nam się podwajały, bo wszystkie najczystsze wody odbijały".** W dobie, gdy nie istniały jeszcze fotografie, kiedy zwierciadło nie w każdym znalazłeś domu, podróżni doznają niezwykłych złudzeń wizualnych, widzą podwójnych pasterzy, czółna, dwie trzody bydła.

Karpiński zasłynął w swej twórczości ze świetnych antytez (np. w koledzie „Bóg się rodzi"); w „Podróży na Skałę" rozwija przeciwstawienie, które na pozór nie ma w sobie nic antagonistycznego. Chodzi o skały i wodę — dwa elementy najbardziej trwałe w przyrodzie. Co się z nimi dzieje? **„Woda popędliwa przeciw skałom na pomoc czasu przywoływa".** Żywioł rzeczny sprzymierzony z czasem wydaje wyrok śmierci na opoki wapienne.

I chociaż wody miękkie,
chociaż czas leniwy,
Przecież krają na połę
kamień uporczywy.

Drukowany debiut literacki młodego A. Fredry związany jest pośrednio z Sanem. W 1830 r. ukazał się w lwowskim „Haliczaninie" sporych rozmiarów poemat pt. „Kamień nad Liskiem". O tym kamieniu — dziwie natury zawieszonym nad Sanem wspomina Fredro w pamiętniku „Trzy po trzy". W poemacie swym usiłuje na podstawie podania gminnego skonstruować genezę tej osobliwości. Wplącze do tego historię miłosną, czarownice, zaklęcia i inne rekwizyty romantyzmu. Przytoczę tu opis burzy na Sanie, opis, jakiego nie powstydziłby się chyba sam Byron.

Lecz wkrótce Sanu
zagrzmiały topiele:
Piętrzy się fala, nowe łoże
ściele,
A głaz po głazie urwany
z nadbrzeża,
Głuchym pluśnięciem po
lasach uderza,
Gdzieniegdzie drzewo jak
olbrzymie ramię,
Skręcone wirem, o skały się
łamie.
Niknie brzeg, łoża, droga
i zagroda,
Wszystko już woda, woda,
tylko woda.

Jest w tym fragmencie realistyczne odtworzenie żywiołowej siły wody (dzięki zastosowaniu onomatopei), ale jest też akcent apokaliptyczny jakiegoś końca świata, widzianego oczami fantazji. Nastrój ten wzmaga zwłaszcza zakończenie, które przypomina nieco Mickiewiczowskie „A mnie tylko płynąć, płynąć, płynąć". I do tego wszystkiego zdolny byłby nasz spokojny San? Być może, z tym zastrzeżeniem, że działo się to bardzo dawno.

Już nigdy potem nie zajmował się Fredro opracowaniem podobnych tematów. To, że romantycznego wątku dostarczyła mu ziemia rodzinna (a właściwie ojcowska) dowodzi, jak bogate i nie wykorzystane pokłady egzotyki tkwiły w jej folklorze. San tkwił w pamięci poety wyryty tam razem ze wspomnieniem ojczyzny. W pamiętniku „Trzy po trzy" znaleźć można przecież opis przeprawy przez San, jaką Aleksander Fredro podjął kiedyś wraz z ojcem, cbaj na koniach. Wspomnienie rzeki szło również za wiarusami napoleońskimi, którzy we Francji skłonni byli mieszać Seine (Sekwanę) z... Sanem.

Wieloletni pobyt Wincentego Pola na ziemi przemyskiej i sanockiej odbił się mocnym echem w twórczości autora „Pieśni Janusza". Liczne są opisy różnych zakątków, wśród których niemal zawsze wymieniany jest San. Można zaryzykować twierdzenie, że wizja tych terenów tak zrosła się u Pola z główną rzeką, że służy po prostu jako ich synonim. Większość figur poetyckich, porównań, sentencji związana jest z Sanem. Mówiąc np. o tym, że nie warto ryzykować, Pol stawia pytanie retoryczne: po co „kord i rękę szlachecką gdzieś pogrzebać w Sanie?"

Czasy zamierzchłe i odległe — to takie „odkąd w Sanockiem San wywinął węża". Środkiem wyrażającym zdumienie jest użycie stopniowania malejącego: „Ale każdy pan umiał dobrać ludzi, że świat, Korona Polska i San się zadumał". Innym nawykiem, który często zostaje uwypuklony, jest ożywianie rzeki. Przedstawiając oryginalne, ale kosztowne sobótki magnackie, podczas których zapalono 100 beczek smoły na Sanie, Pol pisze:

Stanął San w jednej chwili
w kagańców powodzi,
I przeciągnął się nocą jak
ognista żmija.

Próbuje też poeta snuć rozmyślania na poły filozoficzne. W wierszu „W Dubiecku" przebiega myślą tych swoich poprzedników, którzy tu nad rzeką spędzali wywczasy. W ostatniej strofie wyraża przekonanie, że kiedyś niepodal szumiącej rzeki usiądzie inny bajarz i wspomni o nim. Jest to w formie nieskrystalizowanej nawiązanie do starożytnej sentencji „panta rhei". Wprawdzie rzeka też płynie, ale człowiekowi, który ją obserwuje, wydaje się, że jest niezmienna. Wiele się u nas w ciągu tych kilkuset lat „przedziało", ale San jak dawniej szumi... W tym jest pewne, słabe co prawda, pocieszenie.

Na zakończenie czas wspomnieć o powieściopisarzach. Ten dział reprezentuje głównie Zygmunt Kaczkowski, malarz piękna Sanoczczyzny, kultywator jej pierwotnego charakteru ujawniającego się w górach, lasach i rzekach. Niejeden piękny fragment dotyczący Sanu znalazł się na kartkach „Grobu Nieczui" oraz innych powieści z tego cyklu. O ruinach zamku Sobień pisze Kaczkowski, że przypominają żebraka staruszka, który położywszy się krzyżem nad brzegiem rzeki, szepcze jej o dawnej swej świetności.

Oto charakterystyczny ustęp z „Grobu Nieczui". **Niby z pod ziemiów zamku wypływa San już szeroki, przejrzysty i niebieski jak błękit majowy, a rozlewając się stąd coraz wspanialej i szerzej w zachwycającej piękności dolinę, jednym brzegiem podmywa cały szereg skał ubarwionych powojem i kwitnącymi bluszczami".**

JAN G. FAL

Przerysował — A. KUDA

KSIĄŻKI — KSIĄŻKI — KSIĄŻKI — KSIĄŻKI — KSIĄŻKI

GALICYJSKIE ZAPISKI

NIC INNEGO chyba jak ślepy traf sprawił, że na księgarskim rynku ukazały się ostatnio prawie jednocześnie dwie pamiętnikarskie pozycje traktujące o Galicji w końcu XIX i w początkach XX wieku. Autorem jednej jest szlachcic podkrośnieński Kazimierz Chłędowski*), drugiej chłop spod Łańcuta Jan Stryczek**).

Historycznie rzecz biorąc pisarski debiut Stryczka kontynuuje w pewien sposób galicyjskie zapiski Chłędowskiego, znanego zresztą skądinąd jako historyka kultury i autora wielu poczytnych książek. Stryczek nie ogranicza się bynajmniej do lat, które przeżył w „Galicyji i Głodomerii" — jak nazywano ziemie dzisiejszej południowej Polski, znajdujące się wówczas pod zaborem austriackim. Pisze również o tych fragmentach ze swego życia, które wiążą się z agonią C. K. Austrii, wspomina o latach międzywojennych, i poprzez drugą wojnę światową dochodzi do czasów nam współczesnych.

Pamiętniki Chłędowskiego, które krakowskie „Wydawnictwo Literackie" przekazało w ręce czytelników — są wznowieniem książki wydanej przed 7 laty przez „Ossolineum". Tamto wydanie o niewielkim zresztą nakładzie (5 tys. egzemplarzy) stało się rychło bestsellerem książkowym i zostało w ciągu niespełna 3 miesięcy gruntownie wyczerpane.

Powodzenie swoje pamiętniki zawdzięczały przede wszystkim uszczypliwym i miejscami nawet piekielnie złośliwym docinkom, jakich Chłędowski nie szczędził galicyjskiej szlachcie i galicyjskim politykom. Dla pewnych środowisk, jak np. dla Krakowa — książka stała się przez to przysłowiowym kijem wsadzonym w mrowisko. Wśród krytyków, których nie brakło — znaleźli się m. in. ci, których gromił autor osobiście lub osoby ich niedalekich antenatów.

Okazało się wtedy, że trzydzieści lat od śmierci, jakie Chłędowski zastrzegł sobie dla otwarcia pamiętników i ich opublikowania, to okres stanowczo za krótki. Setki spraw o których miał szczęście (czy też nieszczęście?) napisać zachowało nawet w pół wieku po napisaniu ostatniej notatki (1901 r.) aktualność i kto wie, czy gdyby autor żył (zmarł w 1920 r.) nie mielibyśmy jeszcze jednego procesu o obrazę czci i honoru.

Chłędowski w sprawy polityczne raczej się nie zagłębiał. Dla niego ważniejsze były rozgrywki personalne w rządzie autriackim oraz namiestnictwie lwowskim, targi o fotele ministerialne i wpływy w Kole Polskim w wiedeńskim parlamencie. Tym też sprawom poświęcił najwięcej miejsca w swoich pamiętnikach. Czytelnik zapoznając się z wydarzeniami tego typu zapisanymi w dodatku przez człowieka będącego blisko galicyjskich warstw rządzących, po trochu konserwatysty i po trochu liberała, a przy tym pisarza o ciętym piórze, bawi się świetnie.

Swego rodzaju pięknym ukłonem czytelnika pod adresem Chłędowskiego jest list Juliana Tuwima do Antoniego Krzota. W liście tym Tuwim m. in. pisał: **„Chłędowskiego połknąłem, jak wszyscy czytelnicy jego pamiętników nieomal jednym haustem... Dziwny autor i chłodny, wyrachowany, właściwie niesympatyczny, ale jaki mądry, spostrzegawczy i „nie po polsku dowcipny".**

Czymże pamiętniki Chłędowskiego wiążą się z ziemią rzeszowską? By na to pytanie odpowiedzieć wystarczy zacytować pierwsze zdanie z pierwszego rozdziału jego książki.

„Urodziłem się w roku 1843, 28 lutego. O której godzinie i pod panowaniem którego planety mniejsza o to; nie żyjemy już bowiem w wieku astrologów, a czy Mars czy Wenus opiekowała się moimi urodzinami, na tym — według dzisiejszych wyobrażeń — nie zależy.

Pół godziny drogi od Iwonicza, kąpiel jodowych w Galicji, w krośnieńskim powiecie, leży mała wioseczka Lubatówka, należąca do Trzecieskich z Miejsca. Mój ojciec, Otton Chłędowski, rozpoczął tam jako młody człowiek swój gospodarski zawód, dzierżawił Lubatówkę, rodzinna wioska bowiem Wietrzna, o milę stamtąd oddalona, dostała się starszemu bratu, znanemu literatowi, Walentemu. Otton, najmłodszy z trzech braci, był beniaminkiem rodziny, wychowywał się pod wpływem matki, gdyż ojciec wcześnie go odumarł".

I tak, co krok w książce spotykamy się z nazwami miast, miasteczek i gromad leżących w granicach dzisiejszego woj. rzeszowskiego. Oczywiście Krosno wraca najczęściej na karty pamiętników. Nie brak jednak w książce faktów i zdarzeń z Rzeszowa, Przemyśla, Pilzna, Jasła itp.

WRĘCZ odmienny charakter noszą wspomnienia Stryczka. Ten nigdy nie obracał się w gronie dostojnych, herbowych postaci. Co najwyżej obserwował z daleka jak rozbawione towarzystwo z pałacu Potockich w Łańcucie mknęło przy akompaniamencie pohukiwań i strzelań z batów na polowanie w rakszawskie i leżajskie lasy.

I gdy Chłędowski na klasy niższe uwagi raczej nie zwracał (chyba, że chodziło o wyszydzenie chłopskich deputowanych w wiedeńskim parlamencie) Stryczek im przede wszystkim poświęcił miejsce w swoim pamiętniku. U niego nie sprawy prywatne grają pierwsze skrzypce, lecz sprawy przeludnionej wsi galicyjskiej, która była rezerwuarem siły roboczej dla właścicieli ziemskich w Niemczech i potentatów kopalni węgla we Francji, a potem ogniskiem buntu przeciw panującemu porządkowi społecznemu.

Na marginesie tej pamiętnikarskiej relacji o dziejach wsi, rozwijającego się ruchu ludowego i spraw polskich Stryczek snuje swoje osobiste refleksje na te tematy. Na te refleksje warto zwrócić uwagę choćby dlatego, że są to w pewnej mierze refleksje społeczne klasy, której Stryczek był przedstawicielem i piewcą równocześnie.

Ciekawie czyta się pamiętniki tego chłopa — samouka. Tę ciekawość budzi m. in. fakt, że kunszt pisarski opanował Stryczek nieźle. Uderza to przede wszystkim w tych partiach opisowych książki, które poświęca dziejom swego życia i wsi, w której mieszka. Sprzęgły się tu nierozerwalnie humor, naturalność i swoboda pisarska Stryczka a przy tym jakaś ostrość spojrzenia na niektóre sprawy i zachodzące na wsi przemiany.

Mieczysław Grad, który napisał przedmowę do książki Stryczka szacuje ją jako **„świadomy i dojrzały pełnowartościowy czyn chłopa — pisarza, współgospodarza ludowej ojczyzny współodpowiedzialnego za jej losy, a nie ubogiego krewnego".**

Komplement to dla chłopskiego pisarza, który do dziś mieszka w podłańcuckiej wsi Woli Dalszej, niemały. I każdego kto interesuje się choć trochę sprawami rzeszowskiej wsi zachęcić winien do jej przeczytania.

ADAM SOCHA

*) **Kazimierz Chłędowski — Pamiętniki (Część I — Galicja. Część II — Wiedeń) — Wydawnictwo Literackie, Kraków — Cena zł 65.**

) **Jan Stryczek — Chłopskim piórem — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza — Cena zł 26.

małe NOWINY TYGODNIA

WYCHODZĄ RAZ NA OSIEM LAT

MOTTO:

Nie wiem, który to nasz przodek
W przydługi ponoć karnawał,
Gdy wyczerpał wszelki środek,
Skąd wziąć jaki świeży kawał,

Wraz, po formy dążąc nowe,
Chwycił kpiarstwa kaduceusz,
Skrobnął się nim mocno w głowę
I wymyślił — jubileusz.

Przyjęła się ta zabawa,
Jako że w niej leży sposób,
Co każdemu daje prawa
Kpić z najszanowniejszych osób...
(Boy)

Kartki z dziejów teatru

Fakt do publikacji byłby niezwykłej wprost doniosłości, gdyby nie wyrwano z cennej księgi, leżącej od lat w zbiorach Jagiellonki — Biblioteki, najważniejszej kartki, operującej datami. Pomyślcie, drodzy, że przez jakiegoś wandala bez sumienia i bez czci dla słowa pisanego, my nigdy nie odkryjemy historycznej daty narodzin teatru rzeszowskiego.

Wprawdzie, jak to rzekł pewien mój przyjaciel, na zasadzie tzw. rybki, możnaby było zmusić wyobraźnię do działania, ale ja, trzymający się ściśle strony historycznej faktu — jestem pełen niepokoju i obaw przed tym przedsięwzięciem.

W dotychczas prowadzonych „kartkach z dziejów teatru" dobrnąłem do daty, kiedy Rzeszów czyli urbs Resovia miało lat 2 i historycznie rzecz naświetlając jestem pewien, że świetny aktor — Polikarp z Tyczyna próbował i co cenniejsze ze skutkiem, stworzyć stałą scenę w naszym mieście. Że grywały tu już wtedy takie sławy jak Wienczysław X, późniejszy emigrant do Stanu Arizona, jak urocza pani Wanda z Lollobridzidowa, ale najważniejsze to brak pewności, co było w pierwszym roku powstania urbs Resovia?

Przez wandala bibliotecznego nie mogę ustalić, niemniej przyrzekam wam, że póty nie spocznę w swoich poszukiwaniach teatrologicznych, póki kondycjonalnie rzecz biorąc, sił starczy.

I nadejdzie dzień, iż ogłoszę światu, że Rzeszów miał teatr u kolebki swego istnienia; teatr, prawie tak dobry, jak dziś.

Jerzy Pleśniarowicz

MŁODZIEŻ na rozdrożu

Już dawno zrozumiałam, że ślepy zaułek naszej młodzieży wyniknął z tragicznie zaniedbanej epoki, oczywiście pod względem pedagogicznym. By nie być gołosłowną, muszę przytoczyć rozmowę, jaką przeprowadziłam z 10-letnim Kaziem D. — uczniem klasy IV szkoły podstawowej:

— Powiedz mi, Kaziu, co powiedziałbyś starszej osobie którą kopnąłbyś (oczywiście niechcący) w zastarzały odcisk?

— Pewno nic, proszę pani, myślę nawet, że zwiałbym.

— Kaziu! Co mówisz?

Tu zaczęłam podpowiadać:

— Przypomnij sobie Kaziu, jest takie słówko, małe, ale przyjemne, no prze... prze...

— Acha, powiedziałbym — przetenteguj się pani z tą nogą!

— Ale Kaziu, „przepraszam" się mówi wtedy.

Zrozumiał i był zawstydzony. Triumf pedagogiki. Jeszcze mocniej podbudowując jego psychikę na zakończenie powiedziałam:

— Dziękuję ci, Kaziu.

By pokryć swoje zmieszanie, że tyle nowego wyniósł, plunął cichutko pod moje nogi i odrzekł:

— Przetenteguj się, to jest przepraszam...

Irena Pitulanka

Niedorzeczność czekania

OPOWIADANIE

Noc marazmu i niepokojów. Partykularyzm wchodzi siłą przez zamknięte szczelnie okna. Piszę contra.

Powstałam gdzieś w dalekim niebycie. Rodzono mnie w męce i męką napiętnowano mój los. Fatum. Dwadzieścia i coś lat zmagań z otoczeniem. Prześwity i niepokoje. Kłamstwa i porubstwo. Chucie i moja czystość.

Rewolucja pragnień i twoje ręce — długie, chopinowskie. Próbujesz ich czaru; trzepocę białe, odcinając się od brudnej zieleni fotela. Chłonę je i czuję jak moralnie mnie umiesz odradzać.

Tylko dlaczego czynisz to tak rzadko Piotrze, Piotrusiu, Piotruniecku?

Przemierz milionową dal schodów, stań w ciszy pod moimi drzwiczkami dla krasnoludków.

Zrozumiałbyś, czy ja, k o b i e t a, miałabym dość siły, by nie otworzyć?

Krystyna Świerczewska

NA PYTANIA ODPOWIADA:

JANUSZ KAPOTKO

kierownik świetlicy w Gąbkach Małych.

— Czy Wy jesteście kierownikiem świetlicy?

— Tak.

— W Gąbkach Małych?

— Tak.

— Na pewno w Gąbkach Małych?

— Na pewno.

Notował: **Jerzy Piskor**

List z Krakowa

Szanowny Redaktorze!

Reporterskim obyczajem gdzie tylko jestem, pisać muszę. Rzeczy ważne i ciekawe!

Aby uczynić zadość memu obowiązkowi, zacznę od najważniejszego wydarzenia: skurczyła się ponoć wieża Mariacka o parę milimetrów. Zjawisko to niesłychane i o jego doniosłości dalej wszechzorientowanego redaktora przekonywać nie muszę.

Kulturalnie Kraków nad poziomy wylata. Teatrów cała masa, sztuk też. Wyliczanie ich (oczywiście sztuk) byłoby nie celowe z racji pochłonięcia olbrzymiej ilości miejsca. Dobrze grane, ciekawe, nowoczesności dużo.

Kończąc, pozostaje szczerze oddany z dziennikarskim pozdrowieniem

K. Bosek

ZNALEZIONY OBRAZ

(UDRAMATYZOWANA KRONIKA)

Rembrandt: Saskiaaa! Nie widziałaś gdzie tego obrazu?

Saskia: (z drugiego pokoju) Nie widziałam mój mistrzu i mężu. Recz mówić ciszej, drogi, twoja gęba jest o krok od darcia się.

Rembrandt: (Mruczy wściekły) Któż do cholery mógł to wziąć? Na co się to komu przyda?

Saskia: (z uchem przy klamce) Ja też jestem ciekawa? (opuszcza pozycję, wzruszając uprzednio pulchnym ramieniem holenderskiej białogłowy).

Za oknem typowy widok z płócien malarzy flamandzkich wiatraki, owieczki, białe czepki i dużo gawiedzi — wszystko razem nie mające większego wpływu na przebieg akcji. Rembrandt geniusz patrzy na ową kompozycję i na chwilę

wzrok mu łagodnieje, by po powrocie do czynności poszukiwania wybuchnąć stokroć gwałtowniej.

Rembrandt: Bo przy takiej żonie w domu, to człowiek w ogóle nie wie, na czym siedzi!

(Siada z hukiem).

Saskia: Nie czepiaj się żony, ty geniuszu... (dalej tylko mruczando). Czekaj, czekaj, kochany, faktycznie, na czym ty siedzisz?

Wbiega do pokoju, próbując

podnieść ciężkawego mistrza z krzesła i za chwilę oboje zaczynają tańczyć egzotyczne

calypso ze znalezionym obrazem w dłoniach.

Rembrandt: Daj pyska, Saskia. Jesteś najpiękniejszą z kobiet.

Saskia: Buzi, Rembrandtku, zawsze ci to mówię, że bez żony daleko nie zajdziesz.

(Kurtyna)

Słychać jeszcze odgłosy pocałunków; obraz wyjeżdża w tajemniczy sposób na widownię, by cieszyć widzów swym artystycznym pięknem.

Jerzy Mirecki

R E C E N Z J E — R E C E N Z J E

Laura a wąski spodeń

Motto:

Najcieńszy włos rzuca cień.
(Goethe — mowa o teatrze przyp. mój)
Bo z tym wielki jest ambaras
Żeby dwoje chciało naraz.
(Boy)
Pupa infantylna wymaga wąskiego spodnia.
(Parafraza W. Gombrowicza)

Ostrożność jak powiedział wielki X, nigdy nie zawadzi. Przez pryzmut maksymy uogólniającej ową pure hesitation krytyka należy odczytywać mój diametralnie różny sąd o sztuce.

Wzrusza widza — i to dobrze; odpycha, bo rażąca jest sprzeczność z jaką reżyser potraktował czołową postać.

Zerwawszy z tradycją reżyser kazał założyć Laurze, dziewce z ludu, strój dziewki z Casanovy — wąski spodeń. I jakże tu dalej słuchać czystej poezji o nocnych spotkaniach z Filonem, gdy z góry człowiek czuje niemożność takowych, a przed oczyma stają sztuczkowe portki panny Laury?

Gdyby nie one, inny, powiadam, byłby mój sąd o sztuce, o teatrze i o aktorze. Na pewno pozytywny, bo reżyser się natrudził, frekwencja jest, aktorzy też są. Gdybyż bez Laury!

Bowiem w wąskim spodniu panny Laury tkwi dla mnie siła fatalna tego przedstawienia, które jednocześnie jest i nie jest eksperymentem, które, co więcej, jest i nie jest udane.

Edmund Gajewski

Miłość za mgłą

Gdyby w tym filmie nie było nic poza Francoise Odette Joinville, byłby mimo wszystko arcydziełem kunsztu reżyserskiego. Rozmodlone pożądaniem oczy wielkiej tragiczki, skute fatalistyczną niemocą jej ruchy, gdy żegna kochanka, głos zachrypły a melodyjny, smutek deszczowych pożegnań, melancholia pierwszego jesiennego listka, którą tragiczka zawarła w poprzednio omówionym spojrzeniu nie pozwalają przejść mimo. Widziałam wiele aktorek — takiej nie. Ona jest dominantą filmu „Miłość za mgłą".

O reszcie filmu nie mówię — zobaczycie sami. Reżyser — wirtuoz, sekwencje mistrzowskie, wszystko się mieści w kadrze jak ulał, całość znakomita.

Ale wracając do Francoise Odette Joinville — to aktorka arcyklasy — dama filmu francuskiego. Acha, byłabym zapomniała, otóż roztkliwił mnie najbardziej tajemniczy ruch jej najmniejszego paluszka, pomalowanego lakierem Cutex. Nieoceniony ruch, moim zdaniem oczywiście. Podbudowany psychologicznie, udziwniony, finezyjnie francuski. O czym donoszę wam w psychicznym stanie, nazwanym przez psychologów przyjemnością.

K. S.

O muzeach słów kilkoro

Wprawdzie redaktorzy „Nowin Tygodnia" skracają artykuły niemiłosiernie, ale warto chyba zastanowić się nad problemem muzeów w naszym województwie. Bo co to jest muzeum, proszę kolegów? Muzeum jest to instytucja gromadząca w sposób planowy zbiory z jakiejś dziedziny np.

(Dokończenie na str. 4)

Szwed a sprawa polska

W roku 1*** naszej ery pierwszy Szwed nastąpił na polską ziemię i od tej chwili moje oko niestrudzenie śledzi go poprzez wieki.

Wynikłą stąd kwestię „Szweda a sprawy polskiej" rozpracowuję w punktach i podpunktach, czekając z niecierpliwością momentu, kiedy ją wam przekażę wreszcie w całości — oczywiście nieskazitelnej historycznie, z uwzględnieniem wideł Sanu i tych tam rzeczy etniczno - geograficznych, które mnie, jako historyka, już, powiedziałbym, ciut mniej absorbują.

Abstrahując od wielkich zmian jakie wprowadził ów Szwed z roku 1*** naszej ery do naszego życia, a raczej życia naszych antenatów, abstrahując od wiekopomnego dzieła „Potopem" zwanego i małżeństwa Krzysi, od dużo późniejszej „Polki-Szwedki" — tańca prawie narodowego, będę miał jeszcze wiele, wiele do powiedzenia na pasjonujący politycznie temat. Ale o tym, co będę miał do tego powiedzenia, to już w następnym numerze.

dr Franciszek Błoński

P O L E M I K I — D Y S K U S J E

Quo vadis plastyku?

Mówiłem i mówię, że dwa dorsze z poddartymi ogonami nie są sztuką!

Trzeba zrozumieć, bo tak mówił też wielki Delacroix i Wielcy Inni.

Plastyku, nie rozpraszaj się więc na śledziu, dbaj o linię, chroń sztukę przed dorszowym zapachem, albowiem musisz przecie znać przysłowie: „Jedz dorsze, bo guano gorsze".

Zresztą po co to mówię? Plastyka nie ma. Zginął. Rozproszył się intelektualnie w świecie kanap i pufów, zatracił bunt i wiarę w rewolucyjność sztuki. Samotny cypel, na którym stoję, jest jedyny w tym gnuśnym mieście, a jakieś tam O. próbuje wmówić, że nie.

Kreślę się z szacunkiem nawet dla O.

Ski.

Do domu, malować obywatelu Ski!

Literacko rzecz biorąc **Ski** jest smutna sierota i się rzuca.

Jego hi, hi, miau, miau są nie do przyjęcia przez środowisko artystyczne i dlatego ja nie przyjmuję. Doradzam natomiast jako osoba zrównoważona, użyć ciekawszego zwrotu, który ma o wiele więcej ekspresji na pewno jest twórczo potrzebny w słowniku rzeszowskiego plastyka, a to: hau, hau.

Zwrot wymyślony przez pieska, być może barwy płowej z jedną chorą łapką, jest stworzony przez matkę naturę i na pewno nie jest odbiciem świata pozaziemskiego, jak to twierdził wielebny Biskup Berceley, którego nie szanuję na równi z panem Ski.

Plastycy są, bunt też jest, a ja na dowód tego się muszę podpisać.

Olga Samarska

WYDARZENIE NA MIARĘ EPOKI

Już miesiąc temu w Powojówce Mniejszej została otwarta nowa gromadzka biblioteka. Fakt ten nie zasługiwałby dziś na uwagę, gdyby nie pewne wydarzenie, mające miejsce wczoraj (a więc artykuł aktualny). Ono to właśnie skłoniło mnie do wejścia na łamy i do podzielenia się z wami wyłącznie m o j ą wiadomością. Ale opowiadajmy w chronologicznym porządku.

Miesiąc temu w powstałej bibliotece było 50 książek, natury naukowo-rozrywkowej i po paru dniach zanotowano stan liczebny czytelnika — 2. Osiągnięcie? Nie — normalizacja raczej, powiedziałbym.

Taki stan liczebny księgozbioru i czytelnika był do wczoraj. Wczoraj, właśnie wczoraj, zakupiono nową pozycję (miesiąc upłynął należało odświeżyć księgozbiór). Były to „Żywoty pań swowolnych". Wraz z nią (nową pozycją oczywiście, a nie jedną z pań) w bibliotece zjawił się nowy czytelnik. Trzeci! Proporcja procentu została zachwiana z korzyścią dla oświaty, a przede wszystkim czytelnictwa Polski Ludowej. No bo gdzie tu co do czego:

Było 50 książek i 2 czytelników

Jest 51 książek i 3 czytelników.

Rozkwit masowego czytelnictwa na wsi po tym fakcie staje się aż nazbyt widoczny.

Tadeusz Stanisz

ACH, JAK TRUDNO ZGADNĄĆ

ZGADYWANKA

Wpisać poziomo znaczenie następujących wyrazów:

1. To w czym się gotuje.
2. Ma sto nóg.
3. Trzecia litera alfabetu.
4. Inaczej błazen (słowo obce, zaczynające się na C).
5. Miasto wojewódzkie w naszym województwie.
6. Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela — razem wzięte co dadzą?
7. Nowiny Tygodnia w służbie...
8. Karo w gwarze ludowej instaluje się u drzwi.

(Na nagrody przeznaczono książki. Rozwiązanie w 800-setnym numerze „Nowin Tygodnia").

Żarty rysunkowe

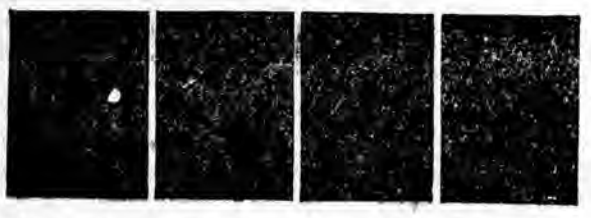

Kominiarz w nocy — *Wrona w nocy* — *Czarny kot w nocy* — *Smoła w nocy*

rys. J. Sienkiewicz

Rzeszowscy plastycy

A. K. CIAPKA

W twórczym pędzie do buntu napinam moje płótna — 35 zł za metr. Cztery gołe ściany mego mieszkania są czterema świadkami moich dążeń, wzruszeń i innych rzeczy, które mają wszystko wspólne z malarstwem.

One widzą moje zmagania z kolorem, formą; one, zawsze wierne, podsuwają mi koncepcje, które przetrawiały wieki. O nich — przyjaciółkach, winienem wam napisać, nie o sztuce, co daleka dla was i niedościgła. Ja, kapłan tej sztuki, wam to mówię.

Ciapka

monolog napisany i wystawiony przez widzów pt. „DOBRA RADA" Inscenizacja i reżyseria zbiorowa

WIDZOWIE CHÓREM:
Niech reżyser się nie trudzi
Niech się som
doszkoli wprzódzi

KURTYNA

(Dokończenie ze str. 3)

przyrody, techniki, kultury, sztuki, konserwująca je i porządkująca, w celu udostępnienia ich zarówno specjalistom, jak i szerokim masom pracującym. Muzea państwowe dzielimy na: 1) muzea narodowe, 2) muzea okręgowe, 3) muzea regionalne.

Szerzej o tych sprawach postaram się napisać w następnym numerze.

Franciszek Kotula

Niniejszą kolumnę parodii opracowano z okazji 400-go numeru „Nowin Tygodnia".

RZESZOWSCY PLASTYCY

ZUZANNA KUSEK

Malarz jest twórcą obrazu, ale żeby zasłużył na miano artysty musi posiadać wielką intuicję odkrywczą, popartą niezmierną czułością wykonawczą i intelektem. O dzisiejszym malarzu często mówi się, że stworzył obraz o nowych formach i zestawieniach kolorystycznych. Obraz faktycznie stworzył, ale formy i koloru nie stworzył i jakkolwiek są odkrywcze, najczęściej nie są odkryte przez malarza, ale istnienie ich jest przez niego wyczute.

Po stwierdzeniu trafności sąsiedztwa form i koloru malarz skazuje je na wspólne istnienie. ZUZANNA KUSEK

ANEGDOTY

Jako początkujący autor Shaw zaofiarował jedną ze swych sztuk znanemu dyrektorowi teatralnemu Wyndhamowi. Ten zaprosił młodego pisarza do siebie na audiencję. Shaw przyszedł punktualnie, ale musiał czekać przeszło dwie godziny w poczekalni

Dopuszczony wreszcie przed oblicze dyrektorskie, Shaw wyjął z kieszeni mnóstwo pomiętych świstków papieru. Dyrektor z przerażeniem spojrzał na te kartki i zapytał autora, co to ma znaczyć.

— To jest moja nowa sztuka! — odparł Shaw. — Pisuję bowiem zazwyczaj swoje dramaty w poczekalniach dyrektorów teatralnych i nie mam czasu przepisywać ich na czysto..

* * *

Pewien wydawca amerykański spotkał raz Bernarda Shaw'a, który zdawało się, był pochłonięty całkowicie swymi myślami.

Stawiam dolara, mister Shaw, by dowiedzieć się, o czym pan teraz myśli — powiedział wydawca.

— Ach, to co o czym myślę, nie jest warte dolara — odrzekł niedbale wielki kpiarz.

— A jednak? O czym pan myśli teraz?

— O panu! — skłonił się uprzejmie Shaw.

Opracował: J. G.

JAN GRYGIEL

Powrót

A już myślałem
Że to na zawsze umarło
Nieśmiałe kroki wspomnień
dzwoniły w ciemności i pustce
tylko
jak rtęć ruchliwe dzisiaj

Żyło przede mną i we mnie

Teraz popiół na skroniach
przypływają wyspy szczęśliwe
splątane, wydeptane kiedyś ścieżki
owijają się wokół serca

Oto topole dymów

wybuchają z rudawych ściernisk
oto dotyk
skrzydła wieczornej zorzy
znów drżę pod burzy tętentem
podróżuję na śmigach wiatraków
i podglądam skrzypce bioder
przez firankę wikliny

O zmyć kamienny pył
w potoczystym, szalonym potoku
kochać głupio i pięknie
jak wtedy

Odrutowany — przypisany do bruku
proszę —
kto mi nieba tamtego przychyli?

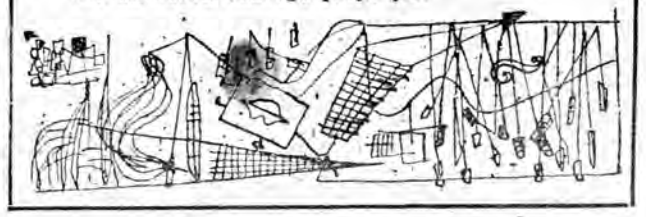

„FILMOWY KONKURS PLEBISCYT"

Zgodnie z zapowiedzią ogłaszamy dzisiaj warunki „Filmowego konkursu-plebiscytu" organizowanego przez Centralę Wynajmu Filmów i Redakcję „Nowin Rzeszowskich".

WARUNKI KONKURSU:

W konkursie może wziąć udział każdy kinoman, który obejrzy dwa nowe filmy polskie:
„DESZCZOWY LIPIEC"
„EWA CHCE SPAĆ"
i przyśle do Redakcji z dopiskiem — „Filmowy konkurs - plebiscyt" w terminie do dnia 30 kwietnia br. odpowiedź na następujące pytanie:

1. Jacy aktorzy z filmów „Deszczowy lipiec" i „Ewa chce spać" — podobali Ci się najlepiej? (należy wymienić po trzy nazwiska aktorów z obu wyżej wymienionych filmów).

Na podstawie wszystkich nadesłanych wypowiedzi komisja konkursowa ustali listę najlepszych aktorów, a Czytelnicy, którzy w swych wypowiedziach wymienili właśnie ich nazwiska — wezmą udział w losowaniu nagród:

1. dwutygodniowy pobyt na wczasach,
2. teczka-aktówka,
3 i 4. półroczny abonament do kina

oraz jako nagrody pocieszenia: książki, a także fotosy aktorów z filmów **„Deszczowy lipiec"** i **„Ewa chce spać".**

Wyniki konkursu ogłosimy 5 kwietnia br. w „Nowinach Tygodnia".

Dla orientacji podajemy nazwiska aktorów kreujących główne role w filmie „Deszczowy lipiec" i „Ewa chce spać".
„DESZCZOWY LIPIEC"
Anna — Urszula Modrzyńska, Andrzej - Ryszard Barycz, Kawka — Jan Kurnakowicz, Wacek — Andrzej Szczepkowski, Karpińska — Barbara Krafftówna, Porebska — Marta Stebnicka, Porebski — Kazimierz Wilamowski, Iwona — Olga Bielska.
„EWA CHCE SPAĆ"
Ewa — Barbara Kwiatkowska, Policjant — Stanisław Mikulski, Kasiarz — Ludwik Benoff, Komisarz policji — Marian Zintel, Barmanka — Maria Kaniewska, Przodownik policji — Stefan Barlik

WARTO KOLEKCJONOWAĆ

Nawiązując do bardzo interesującej dyskusji, jaka rozwinęła się w „Nowinach Tygodnia" na temat „Wywołujemy ducha kolekcjonerstwa", stawiam pytanie, czy jest w naszym województwie kolekcjoner - amator, który by np. zbierał i kompletował „Nowiny Rzeszowskie" oraz ich dodatek „Nowiny Tygodnia". Skądinąd przecież wiadomo, że są kolekcjonerzy różnych czasopism, zwłaszcza ilustrowanych.

Na ogół czytelnicy — i słusznie zresztą — traktują prasę codzienną jako przegląd bieżących informacji, każdego dnia nowych i świeżych. Stara gazeta nikogo nie bawi i staje się po przeczytaniu, bez większej wartości, makulaturą. U niejednego w domu szybko rośnie stos przeczytanych czasopism, które często nie wiadomo, gdzie złożyć.

Są jednak powody, nakazujące skrzętne kompletowanie poszczególnych egzemplarzy każdego dziennika czy tygodnika, każdego czasopisma. Robią to przede wszystkim biblioteki, czytelnie i archiwa. W jakim celu? O tym właśnie chciałbym kilka słów powiedzieć.

Prasa ma swoją bardzo zajmującą historię. Obserwujemy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, jak rozwija się ona, rozpowszechnia i udoskonala. Nie ulega wątpliwości, że prasa jest pewnym odbiciem opinii publicznej, a równocześnie urabia ona tę opinię. Jest ona poważnym narzędziem o znaczeniu politycznym w rękach jej wydawców.

Zasięg i możliwości oddziaływania prasy, a także radia i telewizji, na społeczeństwo ludzkie, są bardzo duże.

Ale ponadto prasa, zwłaszcza codzienna, jest także skrzętnym rejestratorem różnych bieżących wydarzeń i spraw z rozmaitych dziedzin życia społecznego i dzięki temu jest ona nie tylko zbiorem wiadomości aktualnych i nieraz sensacyjnych dla przeciętnego czytelnika, ale także zawiera poważny materiał źródłowy dla badań naukowych, a przede wszystkim historycznych i socjologicznych.

Historyk, zajmujący się nowszymi czasami nie może obejść się bez wykorzystania wiadomości, zawartych w odnośnej prasie. W tym celu z wielką troskliwością odszukuje się i zabezpiecza komplety starych gazet, co się zresztą nie zawsze udaje. Okazuje się bowiem, że nawet z ostatniego okresu międzywojennego nie posiadamy kompletnych zbiorów wszystkich czasopism, jakie wtedy wychodziły, jak np. postępowego tygodnika „Czarno na białem", który ukazywał się w Warszawie w latach 1937-39 o nakładzie jednego tysiąca egzemplarzy, nie mówiąc już o kompletach prasy podziemnej z okresu okupacji.

Wiadomości, zawarte w prasie są nieraz równorzędnym z innymi źródłami, materiałem, a czasem jedynym źródłem historycznym w razie zniszczenia innych dokumentów, jak to miało miejsce w minionej wojnie. W takich wypadkach zdarza się, że zachowane w prywatnych zbiorach poszczególne egzemplarze umożliwiają uzupełnienie niektórych braków.

Przy sposobności warto zaznaczyć, że prasa w Polsce ma już swoją prawie 300-letnią przeszłość. Pierwsze bowiem drukowane u nas czasopismo „Merkuriusz Polski" ukazało się w 1661 roku, a pierwszy polski magazyn literacki „Mercurius Polonicus" w 1698 roku. Obecnie rozwinęły się w naszym kraju, dotychczas zaniedbane, specjalne badania z dziedziny tzw. prasoznawstwa, którego zadaniem jest opracowanie zarówno historycznego rozwoju prasy, jak i jej struktury, form oraz roli, jaką odgrywa ona w życiu społecznym.

Takie ośrodki badań prasoznawczych powstały i działają w Warszawie i Krakowie. Od roku wychodzi Kwartalnik Prasoznawczy, a ponadto od czasu do czasu ukazują się w druku różne szczegółowe opracowania z tego zakresu. Zestawienia bibliograficzne (tytuły) prac i artykułów o samej prasie znaleźć można w wychodzącym od 12 lat, miesięczniku „Prasa Polska", piśmie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, ostatnio zaś otrzymaliśmy wydrukowany duży tom „Materiałów do bibliografii dziennikarstwa i prasy w Polsce" za lata 1944—1954.

Oprócz tego rejestruje się u nas również ważniejsze artykuły z różnych dziedzin wiedzy, zamieszczane w prasie, a zwłaszcza w czasopismach kulturalno-społecznych i naukowych. A więc Biblioteka Narodowa w Warszawie wydaje od szeregu lat bardzo potrzebną „Bibliografię zawartości czasopism". Podobne dane bibliograficzne z zakresu publicystyki i recenzji posiada drukowana „Dokumentacja Prasowa" w swoich dodatkach.

Po tej ogólnej informacji wróćmy do naszej prasy rzeszowskiej. Oczywiście nie będziemy jej w tej chwili szerzej omawiać, jej historii i znaczenia dla naszego województwa, zatrzymamy się natomiast przy „Nowinach Tygodnia", tym niedzielnym dodatku do „Nowin Rzeszowskich" z okazji owego dzisiejszego 4-setnego jubileuszowego numeru.

Otóż należy stwierdzić, że ten stały, tygodniowy dodatek kulturalno-społeczny, wychodzący regularnie od 24 czerwca 1950 roku przedstawia pewną wartość, która w dużej mierze przyczynia się do poznania życia kulturalnego w naszym województwie i do rozwoju tego życia. Nie utrzymały się bowiem próby wydawania odrębnego, poświęconego wyłącznie tym sprawom, czasopisma, jak „Życie Kulturalne Ziemi Rzeszowskiej", którego zdołano wydać tylko 4 numery, względnie „Ugory" (zaledwie jeden numer).

Natomiast 400 numerów „Nowin Tygodnia" — to już poważny zbiór artykułów, felietonów i wiadomości na różne, w większości regionalne — tematy; to obok niedzielnej, kulturalnej rozrywki dla szerokiej rzeszy czytelników, także ciekawy materiał dla badacza życia i przeszłości naszego województwa. Zresztą niektóre artykuły „Nowin Tygodnia" uwzględnione zostały we wspomnianych wyżej publikacjach bibliograficznych.

Jakie w tej chwili można by wysunąć propozycje na przyszłość pod adresem „Nowin Tygodnia"?

Moim zdaniem, powinny się tu częściej znaleźć artykuły dyskusyjne, pobudzające czytelnika do wypowiedzi, następnie więcej jeszcze konkretnego materiału z problematyki regionalnej. To na pewno wzbogaci treść poszczególnych numerów i pomnoży krąg zainteresowanych czytelników.

Na zakończenie mam jedną konkretną prośbę pod adresem wydawców „Nowin Tygodnia", względnie dyrekcji którejś z bibliotek rzeszowskich kompletujących ten dodatek. Mianowicie, aby zajął się ktoś sporządzeniem i systematycznym uzupełnianiem katalogu bibliograficznego wszystkich materiałów, zamieszczanych w „Nowinach Tygodnia". Będzie to na pewno pożyteczna i potrzebna praca.

dr Franciszek Błoński

FILATELISTYKA

(Nr 7)

ZNAKOMITY PEDAGOG

Jan Amos Komeński, wybitny pedagog czeski, na skutek klęski zadanej protestantom czeskim przez Habsburgów na Białej Górze — musiał uciekać z ojczyzny, znajdując schronienie w Polsce (w Lesznie), gdzie pod opieką Rafała Leszczyńskiego przez dwanaście lat oddawał się pracy pedagogicznej.

Znaczenie Komeńskiego w dziejach wychowania polega na tym, iż dydaktykę oparł na porządku naturalnym, dzieląc nauczanie na cztery stopnie: wychowanie domowe (od 1 do 6 roku życia), szkołę elementarną (od 7 do 12 roku), gimnazjum (od 13 do 18 roku) i w końcu uniwersytet (od 19 do 24 roku).

Znaczek z podobizną Komeńskiego o wartości 2.50 zł (opłata krajowych listów ekspresowych) w kolorze karminowym został wprowadzony do obiegu dnia 11 grudnia 1957 r.

J. KRYWIAK

NIE TRUDNO ZGADNĄĆ

MAŁY JUBILEUSZ
(SKAKANKA)

Przeskakując pewną stałą ilość kratek odczytać trójwyrazowe, aktualne rozwiązanie

NA ZAKOŃCZENIE KONKURSU
(SZARADA)

Konkurs tegoroczny nietrudny, nieznojny,
Ale SIEDEM—OSIEM na pewno niejeden
Z złością w PIERWSZYM—TRZECIM, że inny by wolał;
Za to ktoś tam znowu, że: „Ujdzie od biedy".

PIĘĆ OSIEM i PIĘĆ RAZ tym już z góry, bo tak jest
Zawsze, wszędzie, a też SZEŚĆ OSIEM—TRZECIEGO—
To jest odkąd w prasie drukują zagadki —
Że ci na tym, tamci — na innym są brzegu.

Więc mówimy: „DZIEWIĘĆ — WSPAK CZTERY się woła
Nieba" i czekamy, kto nam SZEŚĆ—SIEDEM—OSIEM,
Choć mu nie wyślemy za to DWA—TRZECIEGO
Na tysiące, lecz bon, gdy losu poprosi...

RAZ tym OSIEM każdy, bo w rękach jest losu,
Kto dostanie nasze nagrody — wawrzyny.
Jedna tylko pewna dla tego, co wytrwał
I najczęściej listem zaszczycał „Nowiny".

Za rozwiązanie przynajmniej jednej z tych zagadek przesłane do 14 dni pod adresem: „Nowiny Rzeszowskie", Oddział w Przemyślu, ul. Waryńskiego 15 — przeznaczone są do rozlosowania trzy nagrody w postaci bonów książkowych.

ooooo

ROZWIĄZANA I NAGRODY
Nr 1 (394)

KRZYŻÓWKA — Poziomo: barykada, aga, arak, wir, Marta, talar, SR, yak, er, karła, ibis, oto, ar. — Pionowo: baraki, ryj, kamrat, ara, dary, akta, awaria, gil, akt, te, ras, słoń, Br, oso.

ZAGADKA GEOMETRYCZNA: Punkty, wierzchołki, odcinki, boki, linia łamana, linia krzywa, styczna, prostopadła, półkole, łuk, ramiona, kąty prosty, rozwarty, ostry, wklęsły, zewnętrzny i wewnętrzny, figura, obwód, powierzchnia, płaszczyzna. (Jest to — przytoczone w dosłownym brzmieniu — rozwiązanie Edmunda Kiwały z Łańcuta).

NAGRODY WYLOSOWALI:
I. Maria Hadzewicz — Rzeszów, II. Agnieszka Ziembikiewicz — Jasienica Rosielna, III. Edward Kiwała — Łańcut.

Nagrodę autorską otrzymuje Janina Sobkiewicz — Przemyśl.